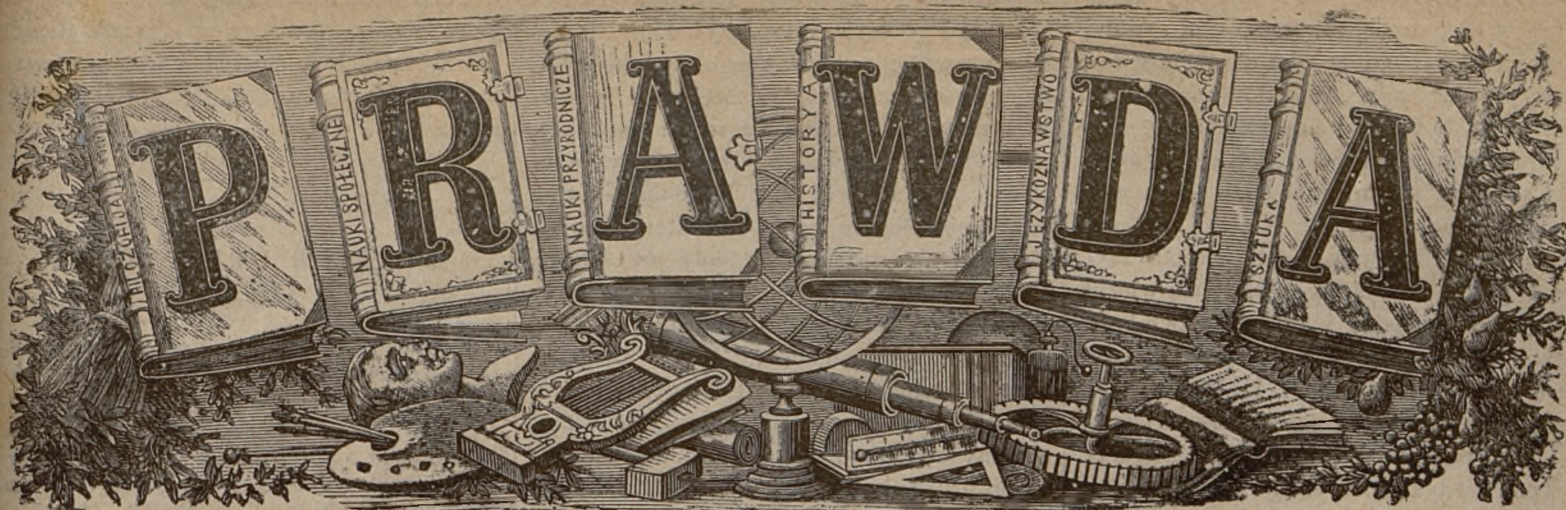
№ 40. Warszawa, dnia 6 Października (24 Września) 1888 r. Rok VIII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Lublin, 15 (27) września. Ich Cesarskie Moście wraz z ich Cesarską Wysokością Następcą Tronu Cesarzewiczem i W. Ks. Jerzym Aleksandrowiczem raczyli przybyć na stacyę Lublin o godzinie 12 m. 35 popołudniu. Jego Cesarska Mość, przyjąwszy raport od gubernatora lubelskiego, z Jej Cesarską Mością oraz Ich Wysokościami raczył się zwrócić do naczelników oddziałów wojska, przyczem mieli szczęście przedstawić się: dowódca 14 korpusu armii, gen. Narbut, naczelnik sztabu, gen. Iwaszkin, naczelnik artyleryi, gen. Graf, dowódca 18 brygady artyleryi, gen. Terejkowski, naczelnik 18 dywizyi piechoty, gen. Stoletow, dowódca 1 brygady, gen. von Medem, dowódca brygady kawaleryi, gen. Wonlarski, dowódca pułku rjazańskiego, pułkownik Broterus, dowódca dragonów, pułkownik Gatowski, pułkownik Wintułow oraz wicegubernator lubelski, Sowastjanow. Małżonka gubernatora, S. A. Tchórzewska, miała szczęście ofiarować Najjaśniejszej Pani bukiet w imieniu miasta, a deputacya, złożona z prezydenta i obywateli, podała Najjaśniejszemu Panu chleb i sól na srebrnej tacy, przyczem deputat, dr. Janiszewski, wypowiedział następującą mowę: „Wasza Cesarska Mości! Po raz pierwszy, pełni niewymownego szczęścia, witamy Waszą Cesarską Mość i Waszą Cesarską Rodzinę u skromnych progów naszego starego Lublina. Najjaśniejszy Panie! I tu, na dalekim krańcu Twojej potężnej monarchii, znajdujesz też same uczucia tkliwej miłości i oddania się bezgranicznego, które towarzyszyły podróży Waszej Cesarskiej Mości wszędzie. Nie uchylaj więc od Twej Monarszej miłości wiernopoddańczych obywateli lubelskich, przyjmując ofiarowane przez nas chleb i sól." Najjaśniejszy Pan w odpowiedzi na przemowę deputacyi miejskiej raczył wyrzec: „Serdecznie dziękuję wam za powitanie; podziękujcie ode mnie wszystkim obywatelom za szczere przyjęcie." Następnie Ich Cesarskie Moście obchodzili szeregi wychowańców męskiego i żeńskiego gimnazyum, szkoły kolejowej i ochrony lubelskiego oddziału ruskiego towarzystwa dobroczynności, którzy w pełnym składzie, razem ze zwierzchnikiem, wychowańcami i nauczycielami, zebrali się na stacyi.

Ich Cesarskie Moście, dowiedziawszy się o stanie pomienionych zakładów, wielu zaszczycili miłościwemi pytaniami. Najjaśniejszej Pani miała szczęście być przedstawioną żona dowódcy korpusu, A. F. Narbutowa. Podszedłszy następnie do miejskiej deputacyi, Jego Cesarska Mość raczył powiedzieć: „Podziękujcie jeszcze raz obywatelom za szczere przyjęcie. Jestem bardzo zadowolony, że zaznajomiłem się z wami chociaż na stacyi, żałuję, że nie byłem w samem mieście". W tym czasie, gdy Ich Cesarskie Moście, miłościwie pożegnawszy się ze wszystkimi obecnymi, raczyli zwrócić się do wagonu, wychowańcy wszystkich zakładów naukowych zaśpiewali hymn narodowy, a powietrze przepełniło się głośnymi okrzykami długo niemilknącego „hura," z piersi licznych tłumów, przybyłych na stacyę spotkać swego Najmiłościwszego Monarchę. Kiedy zaś Cesarski pociąg zniknął z oczu, wszyscy obecni, z gubernatorem i naczelnikami oddziałów wojskowych na czele, oraz wychowańcy zakładów naukowych, udali się do miejscowego soboru prawosławnego, gdzie całe duchowieństwo wspólnie odprawiło nabożeństwo, modląc się o dalszą pomyślną podróż Rodziny Cesarskiej. Sobór był przepełniony modlącymi się. Ludność w nieopisanym zachwycie. Domy przy ulicach w kierunku stacyi kolejowej były ozdobione flagami i całe miasto przy sprzyjającej pogodzie miało świąteczny wygląd. Taca, na której podano Ich Cesarskim Mościom chleb i sól, była sprowadzoną z Petersburga. Na tacy wyobrażono: herb miasta, miejscowy sobór prawosławny i kościół katedralny, oraz napis naokoło monogramu Ich Cesarskich Mości: „Najjaśniejszemu Panu Aleksandrowi III wierni poddani mieszkańcy m. Lublina — 15 września 1888 r." (*Warsz. Dniewnik*).

POLITYKA.

CO WOLNO... JOWISZOWI.

Ks. Bismark dowiódł już niejednokrotnie, że prócz zasady: „tak chcę — tak rozkazuję," oprócz własnej woli nic innego nie uznaje i nie szanuje. Mieniąc się chrześcianinem — gnębił i wypędzał chrześcian; zowiąc się tarczą monarchizmu — łamał prawa monarchiczne; prześladował kolejno zachowawców, liberałów—wszystkich i wszystko, co tylko na drodze swojej jako przeszkodę spotkał. Można więc było przypuszczać, że w potrzebie przeniewierzy się nawet tej służbie, którą tak dumnie i uroczyście pytany i niepytany stwierdzał — wierności dla dynastyi Hohenzolernów. Wierność tę bowiem rozumiał tylko w granicach swej wszechwładzy i tylko w stosunku do Wilhelma I. Przekonał o tem świeżo raportem do cesarza w sprawie ogłoszonych pamiętników Fryderyka III. Jest w tym raporcie jeden ustęp poprostu zdumiewający, jeśli zważymy kto go napisał, o kim i do kogo. Chcąc wykazać mylność notatek zmarłego monarchy i fałszywe jego sądy, powiada: „Nie byłem upoważniony przez króla (Wilhelma) do mówienia o drażliwych sprawach naszej polityki z następcą tronu (Fryderykiem). Z jednej strony bowiem król *obawiał się niedyskrecyi*, mogących dojść do dworu angielskiego, mocno sympatyzującego wówczas z Francyą, z drugiej— pogorszenia się stosunków z naszymi niemieckimi sprzymierzeńcami skutkiem zbyt daleko sięgających celów i gwałtownych środków, zalecanych następcy tronu przez doradców politycznych wątpliwego uzdolnienia." Czy to twierdzenie kanclerza jest prawdą, czy też nie, w każdym razie mieści ono w sobie ciężką obrazę dla zmarłego monarchy. Bo jeżeli król pruski istotnie nie dowierzał synowi, to kto go natchnął taką niewiarą? Kto mu podsunął myśl, że następca tronu może zdradzić tajemnice polityczne dla Anglii a pośrednio Francyi? Tylko Bismark. A jakie on miał moralne prawo posądzać ks. Fryderyka o taką zdradę? Na jakiej podstawie mógł wyłączać z tajemnic państwowych przyszłego

spadkobiercę korony? Przypuśćmy teraz, że to jest nieprawdą, że król ufał synowi, że nie trzymał go „po za obrębem spraw politycznych,“ czyż należało kanclerzowi uciekać się do takiego środka obrony? Czy wogóle powinien on był wobec całego świata powiedzieć swemu monarsze o jego ojcu to, co w raporcie podał? Nie ma w Europie ministra, któryby na to się odważył, nawet gdyby mniej wysławiał swą wierną służbę dla dynastyi i mniej obawiał się obrazić uczuć monarchicznych narodu. Jowiszowi czynić tak wolno. Do zuchwałości względem współczesnego otoczenia dołączył on zuchwałość względem historyi, gdyż ona kiedyś będzie sądzić zatarg między Fryderykiem III a Bismarkiem, między szlachetnym, nieco marzycielskim władcą a śmiałym jego wielkorządcą, który zwalczał go tajemnie za życia i pozwał jawnie po śmierci.

Pozew ten jednak i wyrok zaoczny, który odmawia Fryderykowi III zasług w utworzeniu cesarstwa niemieckiego i rzetelności w świadczeniu o wypadkach i prądach współczesnych, cały ten proces, wytoczony zmarłemu pod postacią Geffkena, dostarczyciela urywków redakcyi *Deutsche Rundschau*, nie zetrze tego głębokiego wrażenia, jakie wywarły te okruchy dziennika cesarskiego. Nimbus, otaczający głowę „żelaznego księcia“ sławą głównego twórcy zjednoczenia Niemiec, zbladł bezpowrotnie, a śmiałe i rozpaczliwe wysiłki nadania mu dawnego blasku raczej obniżają rolę Bismarka, niż podtrzymują dawną jej miarę. Po za sferą przekonań, pojonych ze źródła gadzinowego, nikt nie wątpi i po stu przeciwnych orzeczeniach sądu wątpić nie będzie, że pamiętniki są wiarogodne, a zawarte w nich uwagi słuszne. Zresztą sprawdzenie ich autentyczności nie jest wcale trudnem. Istnieje bowiem pewna liczba odbitek notatnika następcy tronu, które on za życia kazał zrobić i zaufanym powiernikom rozdał. Czy trybunał państwowy pod naciskiem kanclerskim zechce obnażyć prawdę — to inna rzecz; ale opinia publiczna znajdzie drogę za kulisy komedyi. Ponieważ zaś Fryderyk III złożył wiele dowodów prawości, ponieważ jego zapiski wyjaśniają wiele zagadek późniejszych, ponieważ mowa ust, które na wieki zamilkły, posiada dziwnie przekonywającą siłę, przeto ogłoszone urywki nietylko oddziałają na teraźniejszość, ale wejdą do materyałów historycznych i wsiąkną w sądy przyszłości. Podczas wojny francusko-pruskiej korespondent *Timesa* ogłosił rozmowę króla Wilhelma z Napoleonem. Wtedy Bismark kazał roztelegrafować po Europie, że doniesienie to było zmyślonem. Uwierzono mu, chociaż korespondent zasłaniał się świadectwem pruskiego następcy tronu. Obecnie rozmowa ta znalazła się prawie dosłownie powtórzona w pamiętniku — i kanclerz jej nie zaprzeczył, a gdyby nawet to uczynił, już by nikogo nie przekonał.

We wszystkich wypadkach, w których świętokradzka ręka odsłania go nie na podziw światu, używa on stale jednej taktyki: oskarża przeciwników o fałszerstwo. Podrobione były listy ks. Koburskiego, podrobione przedstawienie w sprawie małżeństwa ks. Battenberskiego, podrobiony pamiętnik... Wreszcie zebrało się za wiele tych fałszerstw.

Ostatnie widowisko ma jeden szczegół wielce zabawny. Gdy *Deutsche Rundschau* rzuciło bombę, dzienniki kanclerskie natychmiast dojrzały w tym zamachu na majestat pana rękę postępowców. Tymczasem, pominąwszy, że redaktor owego miesięcznika jest rzetelnym narodowo-liberałem, okazało się, że mu rękopisu dostarczył skrajny konserwatysta — Geffken. Przyjemność więc tę sprawili Bismarkowi przedstawiciele dwu grup jego najwierniejszej czeladzi.

Między świadkami tego gorszącego procesu jest szczególnie jedna istota, która mu przypatruje się z zakrwawionem sercem i bolesną niemocą — żona Fryderyka III, która musi słuchać krzywdzącego oskarżenia, że jej mąż uważany był i jest za zdolnego do zdrady tajemnic państwowych i że ona mu w tem pomagać miała. I tę zniewagę rozmazują bezkarnie po prasie pismaki, którzy zaledwie przed paru miesiącami w prochu przed nią i jej mężem się tarzali.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Kodeks jest to księga gruba, zawiera dużo rozmaitych paragrafów, ks. Bismark więc bez trudu może zawsze wyszukać jeden lub kilka dla ugodzenia nieprzyjaciół. W sprawie pamiętników cesarza Fryderyka wybrał sobie całą ich garść. Jeżeli zapiski są podrobione — powiada — to należy winowajcę ukarać za fałszerstwo i kalanie pamięci zmarłych, przewidziane w tych a tych artykułach kodeksu; jeśli są prawdziwe, trzeba zastosować inne artykuły, karzące zdradę stanu. W żadnym więc wypadku sprawca ich ogłoszenia nie powinien się wymknąć. Jak wiadomo, jest nim Geffken, były dyplomata i profesor prawa w uniwersytecie strasburskim, obecnie odpoczywający na emeryturze w Hamburgu. Ponieważ redaktor *Deutsche Rundschau*, ratując swoją narodowo-liberalną skórę, odsłonił go, więc śledztwo miało odrazu trop wyraźny. Dokonana wszakże w mieszkaniu Geffkena rewizya nie dała żadnych łupów. Przebywał on na Helgolandzie, skąd wrócił i oddał się policyi. Jak niebezpiecznego zbrodniarza osadzono w więzieniu człowieka, który śmiał otworzyć przed narodem notatnik zmarłego monarchy. Czego ta pruska Temida nie wyrabia!

Mawiano dawniej: „są sędziowie w Berlinie,“ co znaczyło, że sprawiedliwość w Niemczech była niezależną. Ostatnie lata przekonały, że ta ich niezależność należy już tylko do wspomnień historycznych. Początkiem nowego okresu był proces przeciw Arnimowi. Granice „zdrady stanu“ są według ks. Bismarka tak obszerne, że tylko on jeden oznaczyć je umie. Zdradą stanu było zatrzymanie przez Arnima listów kanclerskich, dlaczegoż nie miałoby nią być ogłoszenie notatek następcy tronu, chociaż on je pewnie spisywał nie dla siebie. W wielkim kłopocie znajdą się sędziowie, jeżeli zechcą określić ściśle, kiedy ogłaszanie materyałów historycznych nie jest zdradą stanu. Pamiętnik wydrukowany w r.

---

1)

SEN FILOZOFA.

Północna cisza, niepokojona miejskim gwarem i gnana z miejsca na miejsce, zakradła się do wązkich uliczek, do biednych domków. Żądna władzy wyzierała z swych kryjówek i wyzyskując każdą chwilę, czyniła coraz dalsze, coraz śmielsze wycieczki. Już okryła szeroką płachtą parę większych ulic, wpadła do przysionka teatru, zajrzała do sali redutowej a nie zważając na gwarne głosy i dźwięki muzyki, cichymi kroki wsunęła się do środka.

Wesoły tłum poczuł jakiś ciężar, jakiś niepokój, lecz nikt nie odgadł powodu; aż zdjęła z swych ramion tajemniczy płaszcz i wstrząsnęła nim w powietrzu... Chwila — i wszystko oniemiało: ani jednego dźwięku, ani jednego szeptu...

Zegar wybił godzinę drugą.

W ciasnej i ciemnej uliczce, gdzie cisza dawno zagłuszyła wszystkie odgłosy i ruchy, w małem okienku połyskiwało światełko.

— Co to znaczy, kto mnie śmie niepokoić? — pomyślała dumna siostra śmierci i wsunęła się do wnętrza izdebki, napełniając swym oddechem wszystkie zakątki.

Przy stole siedział filozof; szmer pióra zaniepokoił ciszę, więc wyssała z lampy ostatnie krople płynu i wyrwała pióro z rąk piszącego. Powstał, przeszedł się po pokoju i legł na twarde posłanie, lecz nie usnął: marzenia silniejsze od snu okoliły wezgłowie.

— Jaka cisza—pomyślał — jeszcze chwil kilka, kilka zatargów z życiem i będę leżał jak teraz, tylko bez świadomości o sobie. Wszystkie walki, badania, cele — wszystko straci znaczenie; a jednak muszę walczyć, badać, dążyć... Muszę— dlaczego? Czyż mogę na to odpowiedzieć! Kto jestem? Albożwiem! Jedna moja istota musi istnieć w trzech oddzielnych światach, z których każdy ma odrębny byt.

Świat pierwszy — to *życie*: świat zatargów o łachman, o chleb powszedni, a kresem jego zmysły ludzkie.

Drugi — świat *myśli*: wolny, nieznający przeszkód w swych dążnościach, granicą zaś jego działań — pojęcie człowieka.

Trzeci składa się z dwóch pierwszych, jest ich echem, odbiciem; biorąc tło od życia, kreśli na niem śmiałe obrazy marzeń— jest to świat *snu*.

Który z nich najwięcej przynosi wrażeń— te jest cierpień i radości?

Życie jest snem — mówią mędrcy; czy sen nie jest życiem? A myśl, która wiąże te dwa światy, czem jest? Na jej skrzydłach oto w tej chwili mogę wyrwać się z mego zakątka i przenieść moją duszę do innego ciała; mogę w tej nowej skorupie przemknąć po świecie, zginąć i znowu się odrodzić. Tak... w każdej chwili mogę stworzyć dla mego ducha oddzielną istotę, dać jej nazwę, wskazać cele. Dziwną zaiste posiadam siłę.

Oto jestem Leonidasem, stoję w Termopilach, zasłaniam tarczą i piersią całą Helladę. Niech uczynię jeden krok wstecz, a zbójecka horda stratuje winnice, rzuci ognie na rodzinne domy, przerwie dzikim wrzaskiem święte hymny, niewiasty powlecze na arkanach do niewoli. Stoję tedy niewzruszony, nieugięty wobec tej strasznej hordy i urągam jej sile. Ale... słyszę wrzaski... Padam pod ciosami, ginę i leżę bezwładnie, nieruchomie—a naokoło ciemnia, cisza, noc wieczna, bez końca.

Zginąłem tedy i nikt nie pyta, jakie uczucia miotały duszą moją. Podziwiają we mnie stałość, jak gdyby skała była mniej nieugiętą; z jednakim uporem staliśmy na straży swej krainy. Dlaczegoż nazwano mnie wyższym?.. Może Efialtes, który nas zdradził, wie o tem?.. Napróżno go pytać, dawno zginął i wiatr rozniósłszy jego prochy po całym świecie, zatruł tysiące źró-

1888 tworzy przestępstwo, a w r. 1900 lub 1950? Czy już wtedy wolno? Kto oznacza datę właściwą i wydaje pozwolenia? Naturalnie ks. Bismark, jego syn lub wnuk. Historya tedy Niemiec może korzystać tylko z tych dokumentów, które jej urząd kanclerski do swobodnego użytku odda; inne muszą pozostawać w tajemnicy a wydobyte na światło dzienne wpadną pod paragraf karzący za „naruszanie stosunków państwa ze sprzymierzeńcami.“ Oto do czego prowadzi nielicząca się z niczem samowola. Proces też Geffkena nabiera dla niemców szczególnej wagi nie ze względu na los oskarżonego, ale ze względu na granice pojęcia „zdrady stanu“ i związanych z niem praw obywatelskich.

Cesarz niemiecki, odwiedziwszy książąt Rzeszy, przybył do Wiednia. Ciekawi tej wizyty mogą w dziennikach naszych znaleźć najszczegółowsze doniesienia telegraficzne. Czytając je, pytamy, po co te ofiary pieniężne i trudy drutu telegraficznego, skoro w opisach nie ma ani jednego szczegółu urozmaicającego zwykły szemat tego rodzaju spotkań i skoro w podróży Wilhelma II trudno dopatrzeć coś więcej, niż akt grzeczności, pozbawiony wyjątkowego znaczenia politycznego. Nie umiemy rozróżniać ważności faktów i ustosunkowywać ich do naszego gruntu, krytyka polityczna jest nam obcą, gapimy się na wszystko z jednakiem zajęciem.

Nadchodzące wybory do sejmu pruskiego ujawniły ojcowską życzliwość zwierzchności kościelnej dla polaków tamtejszych. Arc. Dinder zakazał księżom przyjmować mandaty poselskie i obiecał patrzeć przez szpary tylko na dwu: Stablewskiego i Jażdżewskiego. Może ten zakaz będzie miał dla poznańczyków pewne dodatnie skutki, jeśli osłabi ultramontańskie dążenia ich Koła, ale doskonale ilustruje owe złudzenia, któremi otaczano „arcypasterza,“ widząc w nim koniecznie Walenroda.

Jest nadzieja, że Francya sprawi sobie na jesień nowy gabinet ministeryalny. Floquet bowiem i jego towarzysze już spowszedniali, wyszli z mody, nie zadawalają paryżan. Tym razem do ataku gotują się oportuniści... Ile tam ludzi pracuje dla Boulangera!

SPRAWY EKONOMICZNE.

LISTY Z NAD BALTYKU.

VI.

Rolnictwo. — Zestawienie. — Teorya i praktyka. — Stowarzyszenia rozmaite. — Ponowne zestawienie.— Towarzystwa rolnicze. — Ich działalność. — Wystawy rolnicze takie, co korzyść przynoszą. — Rolnicze zakłady naukowe. — Ferma w Peterhofie. — Prof. Knierim i Thoms. — Statystyka. — Przemysł rolniczy. — Stosunki agrarne. — Własność wielka, średnia i mała. — Względny dobrobyt włościan.

„Niegdyś najbogatszymi były kraje —powiada Buckle — które najhojniej uposażyła przyroda; dziś najbogatszymi są te, gdzie człowiek jest najczynniejszy.“ Niezbyt urodzajną glebą obdarzyły losy kraj nadbałtycki: kamienie, piasek... Nie pieści też tutaj oka połysk dukatowego złota pszenicznych łanów; mosiądz żyta i owsa, szara siermięga lnu przeważnie pokrywają pola tutejsze. A pomimo to słuszność miał p. Arnold, mówiąc w swem sprawozdaniu, że rolnictwo nadbałtyckie stoi w Rosyi na najwyższym szczeblu rozwoju. Bo też ostatnio agronomia stała się wiedzą, która, jak każda jej siostrzyca, wymaga długich i mozolnych hołdów, zanim łaskami swemi obdarzać pocznie. Minęły już czasy, kiedy kapitał, na zakup ziemi użyty, silnie drożdżował, ot, tak, niby sam z siebie i przez się. Dziś rolnictwo popłaca jeno tam, gdzie praca z umiejętnością idą w zapasy o lepsze. W dziwnym tym kraju, co tak blizki nas, a tak niepodobny, istnieją i dowody pracy i zespolonej z nią wiedzy. Nie masz tu tych nieskończonych sporów o stosunek wzajemny teoryi i praktyki, które u nas mielą młynki na przemian ze sprawą stosunku wiary do rozumu; chleba z tej mąki doczekać się nie możemy: same wątpliwości, które chyba encyklika rozstrzygnie, jeśli, zanim ją złożą w archiwum watykańskiem, „słuchów“ naszych dojdzie. Tutaj zaś, poprostu, wzięły się te dwa „elementy“ pod rękę i maszerują razem, niby bracia zrośnięci.

Wiadomo, że kraje zamieszkałe przez niemców, roją się od wszelkiego rodzaju stowarzyszeń, czyli „Vereinów“; ludność miejscowa przejęła po części tę zdolność organizacyjną, o czem świadczy chociażby fakt, iż na tegorocznym zjeździe w Rydze śpiewaków-łotyszów brało udział 110 stowarzyszeń tego rodzaju. Taka gatunkowa i ilościowa mnogość stowarzyszeń stanowi o ich celowości. Rozspecyalizowanie związków jest rękojmią tego, że każdy z nich dokładnie wie, po co istnieje i co ma robić. Gdy niemiec chce śpiewać, bawić się, błaznować wreszcie, to utworzy sobie „Gesang-Verein,“ albo jaki „Schwam-drüber Verein.“ Ale skoro poważną nazwą ochrzci jakąś instytucyę, to już pewnie nie jest to szyld tylko, ale zgromadzenie, które zna swój cel, w którem pracują... To też nie istnieją tutaj stowarzyszenia o niezliczonej ilości sekcyj i nieograniczonym zakresie działań; ale nie są to też siedliska dyletantyzmu. Sprawozdania ich nie bogacą statystyki poronionych projektów domorosłych Colbertów; stanowią wykazy może nie tak olbrzymich i nie tak doniosłych, ale urzeczywistnionych i urzeczywistniających się faktów. Jeśli, wracając do rolnictwa, zajmiemy się sprawą stowarzyszeń mu poświęconych, to poznamy niewątpliwie jedną z ważnych dźwigni jego rozwoju. Pomijając towarzystwa asekuracyjne i kredytowe ziemskie, istnieją tu liczne rolnicze i t. z. ekonomiczne. Dość, że 30% ich ogółu w państwie ruskiem przypada na gubernie nadbałtyckie. W Dorpacie od r. 1796 pędzi żywot najliczniejsze inflanckie towarzystwo ekonomiczne; posiada ono znaczny księgozbiór, własny organ, 80,000 rs. kapitału oraz 11 filij, dorównywających liczbą członków niejednokrotnie głównemu zbiorowisku. Inne, młodsze, nie dają się prześcignąć w żywotności i zapobiegliwości *). Dzięki tym towarzystwom, we wszystkich stronach kraju powstają i rozwijają się stacye meteorologiczne; prowadzone są rzetelne księgi rasowego bydła; dokonywane staranne badania chemiczne gruntów, rozbie-

*) W Rewlu od r. 1839 istnieje estońskie Tow. rolnicze, posiadające dwustu członków, w Dorpacie estońskie od r. 1871, w Ober-Pahlen od r. 1881, w Pernowie od r. 1870, w Felinie od r. 1871 (300 członków), w Pozendorfie, łotewskie, w Mitawie od r. 1839, w Goldingen od r. 1839, w Tukumie od r. 1867, w Gazenpos od r. 1881, dalej frydrychsztacko-iłukszyńskie od r. 1877, iłukszyńsko-subackie od r. 1881, talseńskie od r. 1878, dobleńskie od r. 1871. Prócz tego kilka istniejących tutaj towarzystw ogrodniczych, pszczelniczych, rybackich, wyścigowych itp., bardziej już pośrednio, lecz mimo to łączą się ze sprawami rolnictwa. Wspomnieć wypada jeszcze o Tow. popierania przemysłu i rolnictwa dorpackiem, od r. 1884. A lista niniejsza nie jest zupełną.

---

deł: biedna matka, która w nich orzeźwi spieczone usta przed poczęciem syna, lub skąpie w zatrutej wodzie nowonarodzone niemowlę.

Teraz staję się Neronem. Słucham, nikt nie jęczy, nie klnie — jakże smutno na ziemi! Każę przynieść postronki, bicze, każę krępować, smagać, podpalać stosy. Dziwne! Szalone me chęci tak skwapliwie są wypełniane. Jak jestem wielkim i jak maluczkim jest tłum, co moje stopy liże! Może się mylę, może słuchają mię dlatego, że zbrodnia dogadza ich własnym instynktom? Z jakim zapałem rzucają się jedni na drugich, wyłupiają oczy, wyrywają serca.. Litości!— woła smagany. Co to znaczy litość? Kto wymyślił ten głupi dźwięk? Po co rozkosz tak wspaniałego widoku zatruwać tym bezcennym słowem?..

Cóż znowu? Podają mi miecz i wołają: przebij się! Więc już koniec? I ja daremnie błagam o miłosierdzie... Życie przeszło tak głupio i marnie. Czyż mogłem był mniemać, żem nieśmiertelny, żem stworzony, aby wydusić wszystkich i zostać hyeną na powszechnej mogile!.. Zginąłem.

I znowu żyję: jestem plantatorem, do mnie należą niezmierzone obszary, szumiące trzciną. Rój czarnego tłumu pracuje dla mnie — niechętnie. Rabusie! Czyż nie wiecie, że każdy wasz ruch przyśpieszony powiększa mój dobytek, dorzuca dolary do mojego worka? Skinąłem — i tysiące biczów spadło na obnażone plecy. Klnijcie! Wasze klątwy nie przeszkodzą mi być najbogatszym na ziemi, zakupić pół świata, stać się znanym, wielkim... Lecz cóż to? Śmierć idzie... Przeklęta mara!

I znowu jestem na plantacyach, lecz tym razem czarny, zgarbiony; słońce pali mój wycieńczony kark, ręce drżą, ogień gorączki trawi ciało— jeszcze chwila i padnę. Ciężkie uderzenie kija ocuca mię, wysilam się i padam — nie żyję.

Cztery istnienia przeżyłem w jednej chwili, a leżę jak przedtem i nic się nie zmieniło ani w ustroju ziemi, ani w mojej naturze — człowieka; jak przedtem, zdolny jestem do poświęceń i zdrady, do katowania i do znoszenia cierpień. Historya moich przejść nie nauczyła mię niczego — zostałem, czem byłem.

Może żyłem nazbyt jednostronnie; wcielę się tedy w inne życie, wzniosę je do najwyższej potęgi, dojdę kresu wielkości.

Staję się Cezarem rzymskim. Rzucam się zbrojny: wszystkich królów czynię moimi niewolnikami, cała ziemia jest moją, niema kresu mej władzy — a teraz cóż? Co mię cieszy w tem panowaniu: czy to, że echo moich słów rozbrzmiewa przez góry i morza, czy że podług mej woli mogę być szczęściem i nieszczęściem ludzi? Cóż stworzę? Ucisk, czy wolność, łzy, czy uśmiech? Nie — czyż dlatego zagarnąłem świat, żeby stać na straży jego zatargów i żądz? Zresztą, skąd wiem, jakie są jego potrzeby? Pytam pelikana, uczy mnie rozdzierać swą pierś dla nakarmienia zgłodniałych; pytam tygrysa, każe rozszarpywać — jedno i drugie zależy od natury tych stworzeń, ja zaś jako człowiek postąpię inaczej.

Chcę, ażeby pojmowano rzeczy, jak ja je pojmuję, wierzono, w co ja wierzę: wedrę się tedy do każdego mózgu, każdego serca, przeistoczę je i z całej masy uczynię jeden mózg, jedno serce. Wypełnię wszystko, co nie jest mną samym i zostanę jeden, wielki, wspaniały. Ani szmerów niezadowolenia, ani zatargów wierzeń — cisza wszędzie: moje cnoty są cnotami wszystkich, moje błędy błędami ogółu — cóż dalej?.. Oto leżę śród nocnej pomroki i wiem, że w mej postaci jestem całą ziemią, że po za mną ludzkości niema, żem wszystko obalił, zgniótł, zniszczył, żem najpyszniejszy między pysznymi, najmędrszy z pomiędzy mądrych, żem jest królem, mistrzem, bogiem... Cóż dalej? Nie — leżę i oczekuję śmierci; umrę i jakiś marny historyk stanie się anatomem wszystkich moich drgnień, wytknie moje błędy, zliczy łzy, które się wylały z mojej przyczyny — i ja — pan ziemi — będę leżał nieruchomy, rozćwiertowany przed oczami szkolnych żaków, któ-

rana sprawa wywozu mięsa za granicę, udzielane rozmaite informacye, ułatwiany zakup wypróbowanych narzędzi i machin rolniczych, rozpowszechniona używalność superfosfatów, szerzona, za pośrednictwem odczytów, rozpraw i wydawnictw wiedza rolnicza, wreszcie urządzane stale odpowiednie wystawy. Donioslość roli tych ostatnich wypływa ze skromnych ram, w jakie je organizatorowie wtłaczają, oraz z ich systematyczności, konsekwencyi. Odbywając się w małych przeważnie miasteczkach, są one dostępne mieszkańcom okolicznym. Stąd charakterystyczna ich cecha: współudział szerokiego ogółu, nie zaś, jak to się u nas zdarza, potężnych, ale odosobnionych jednostek. Wystawy kończy jarmark; ceny zwyczajne, nie „wystawowe."

Nie bez wpływu oczywiście na sprawy rolnictwa są szkoły *). Oprócz niższych i t. z. gospodarczego wydziału w uniwersytecie dorpackim istnieje tu wydział rolniczy przy rygskiej Politechnice, na który uczęszcza 134 słuchaczów. Politechnika posiada formę doświadczalną, z doskonałą oborą w Peterhofie (niedaleko Rygi), zostającą pod kierunkiem wysoce uzdolnionego W. v. Knierima. Prof. tegoż wydziału, G. Thoms, jest zwierzchnikiem istniejącej przy Politechnice w Rydze chemicznej stacyi doświadczalnej. Ten ostatni kieruje badaniem gruntów nadbałtyckich pod względem chemiczno-rolnym. Nadto działa w Dorpacie stacya kontroli nasion.

Gubernie nadbałtyckie zajmują przeszło 7,005,000 dies. i mają 1,9 mil. ludności. Uprawna rola, według Jansena, wynosi 1,754,000 diesiatyn. Przeciętna wydajność ziemi w ciągu 1870—77 r. dawała około 2 milionów czetwerti pszenicy, 18 mil. żyta, 12 mil. owsa, jęczmienia i inego zboża 15 mil., kartofli 30 mil. czetw. Ogólna wartość produkcyi rolnej — 56 mil. rs. Koni około 375 tys., bydła i owiec po milionie sztuk. Znaczna hodowla bydła, intenzywny system gospodarki, zmuszają do zajęcia się przemysłem rolnym. Znajduje on się też tutaj na niemałym stopniu rozwoju. Według danych statystycznych Orłowa, przemysł gorzelniczy reprezentuje w r. 1879 tutaj 409 gorzelni, przeważnie rolniczych, z wytworem 21 mil. rs. Nadto znacznym jest rozwój piwowarstwa, a po części i młynarstwa. Zaznaczyć wypada jeszcze prawidłowe i postępowe gospodarstwo leśne, od dawna tu już prowadzone.

Słów kilka o podziale własności ziemskiej. Osobista, prywatna, zajmuje w Estonii 56,6% ogółu ziemi, w Inflantach — 47,6% i w Kurlandyi — 40,9%; ziemie będące we władaniu gmin włościańskich, lub które włościanie użytkują, stanowią (w tymże porządku) 41,4, 45,5 i 36,8%, pozostała nieznaczna ilość gruntów jest własnością kościołów, państwa, instytucyi. Własność osobista prawie całkowicie należy do szlachty; inne stany w tej kategoryi małą odgrywają rolę. Przeciętna własność co do obszaru dosięga tutaj 203 diesiatyn. Nieproporcyonalność podziału dosadnie maluje następujące zestawienie: liczba właścicieli mniejszych — 11%, średnich — 31%, większych — 58%; władanie pierwszej kategoryi obejmuje zaledwie około 1% ogółu ziemi, drugiej — 7%, trzeciej — 92%. Czyli że 42% właścicieli posiadają tylko koło 8% ziemi. Własnością mniejszą nazywamy tutaj posiadłość do 100 diesiatyn, średnią do 1,000. Na chatę włościańską przypada do 37 dies., na osobę zaś do 5,6 dies. Jest to stosunek w porównaniu do innych części Cesarstwa pomyślny.

Włościanie tutejsi uzyskali uwolnienie na początku b. stulecia z prawem wykupu i arendy ziemi, będącej własnością szlachty, a której część wyłącznie na ten użytek została prawem przeznaczoną. Na ogół procent właścicieli małej posiadłości jest tutaj stosunkowo niewielki, wynosi bowiem 11%, wówczas gdy najlepiej co do tych warunków ukształtowanej noworosyjskiej grupie ziem Cesarstwa, liczba małych właścicieli wynosi 67%, a są takie grupy, gdzie mający do 100 dies. stanowią nawet 90% ogółu właścicieli *). Ten rozwój tutaj średniej własności upoważnia wzmiankowanego Matthaeiego do zdania, iż „Rosya mogłaby się uważać za szczęśliwą, gdyby dobrobyt jej włościan przeciętnie dorównywał dobrobytowi łotyszów i estów."

A. Rosset.

*) F. Matthael w dziele *Die wirthsch. Hülfsquellen Russlands* pisze: Stosunkom gospodarskim w gubernlach nadbałtyckich szczególną wartość nadaje i wyróżnia je od innych części Rosyi ta okoliczność, że zarówno właściciele ziemscy, jak i dzierżawcy są tutaj do swego rzemiosła przez szkołę i studya przygotowani i rolnictwo uważają za swoje powołanie. Można powiedzieć, że się zrośli ze swoją własnością i całe ich dążenie jest skierowane ku podniesieniu stanu kultury i wytwórczości,

*) *Wiestnik finan. torg. i promyszl.*, 1886.

rzy nie rozumieją doniosłości mego niwelowania, mądrości dążeń — będą podziwiali wielkość moich oczu, rąk, zębów, a maluczkość serca. I to jest wszystko? Czyż tylko tyle ziemia dać może? A laury Koperników, Galileuszów!.. Przecie mogę stać się i mędrcem, mogę ze stosu zaszczepić nową prawdę na ziemi. Cóż dalej? Cóż, że ukażę, jak się porusza ziemia, dowiodę, że w przestrzeni, czyli pustce wszechświata ona nigdy nie zajmuje miejsca, które raz zajmowała, że coraz nowsze kreśli tory; czy dowiodę tem, że i natura człowieka coraz inaczej się objawia — nic! Nowe tory ziemi, lecz prawa obiegu wokoło słońca jednakie. Nowy ruch ludzkości, lecz prawa, którymi się rządzi, zawsze też same. Ludzkość — jak ziemia — będzie kreśliła swe wydłużone, nigdy niezwarte kręgi, nim zlodowacieje lub rozpryśnie się i nastanie noc. Wśród tej nocy czy będzie ktoś marzył? Czy zapisze w historyi wszechświata zatargi ziemi?

Gdzie się podziało wczora? Co się z niem stało? Nie pamiętałem, że zginie: śmiałem się wesoło, spożywając tę roślinę, która przedwczora szumiała z wiatrem, to jagnię, które walczyło o źdźbła na pastwisku; anim myślał, że mię czeka takież samo jutro — ciemne, puste.

Cóż dalej? Czyż na tej wielkiej, wspaniałej, mądrej ziemi wszystko kończy się niczem? Mądra ziemia!.. Jak dziwnie brzmi ten wyraz!

Gdy gwiazdy migocą i mówią o tysiącach światów, pełnych energii i życia — maluczką jest ona.

Gdy myśl badawcza, szukając początku i końca w czasie i przestrzeni, znaleźć ich nie może — nicością jest ziemia.

Gdy idąc za Darwinem, błądzisz po krętych manowcach walki o byt — smutno na ziemi.

Klepsydra przesypuje ziarnka piasku z miejsca na miejsce — i to się nazywa czasem.

Woda błądzi bez przerwy z jednej kałuży do drugiej — i to się nazywa ruchem.

Pustka zimna, ciemna i martwa, w której gdzieniegdzie połyska nieznane światełko— nazywa się przestrzonią.

Walka o każdy kęs chleba, o każdą błahą myśl, o prawo stąpienia krokiem naprzód lub wstecz — nazywa się życiem

Tak rozmyślał filozof, obarczony wiekiem i więzami społeczeństwa, aż strudzony badaniami, usnął.

(D. n.)

Brolis.

WYSTAWA PRZEMYSŁOWO-ROLNICZA w Wilnie.

Jak utrzymują korespondenci, trzecia wystawa wileńska powiodła się nadspodziewanie „wybornie," chociaż z wielu faktów widać, że chromała i to dość znacznie. Tak np. wielu się uskarża, iż komitet nie ogłosił w pismach zawczasu o dniu otwarcia, skutkiem czego błąkały się po gazetach daty rozmaite, a spory zastęp rolników i przemysłowców nie mógł przyjąć udziału. Należało również wyjednać od zarządów dróg żelaznych zmniejszoną opłatę za przewóz okazów. Ten wzgląd odstraszył średniozamożnych. Największy udział przyjęli magnaci, przeważnie litewscy. Konie dzieliły się na trzy grupy: wierzchowe (najliczniejsze), powozowe i robocze. W pierwszej przeważała rasa arabska i angielska, w ostatniej — żmudzka. Rzecz charakterystyczna, iż dział przemysłu wielkiego (pozakonkursowego) przedstawił się skromnie. Większe fabryki, jak sukiennictwo białostockie, pińskie (Skirmunta), fabryki skór Goldsztejna na przedmieściu wileńskiem, cegielnia parowa hr. A. Potockiego w Rybiszkach, wzgardziły wystawą, zapewne ufając swej potędze. Przemysł domowy, ogrodnictwo, sadownictwo, wyroby mleczne, wybitne miejsce zajęły. Na szczególną uwagę zasługują okazy p. Mańkowskiego—plantacye morwy i jedwabnictwo w Radziejowszczyźnie. Jest to nowość dla gub. półn.-zachodnich. P. M. dał także broszurkę wyjaśniającą znaczenie chowu morwy i jedwabników dla gubernij północno-zachodnich i dowodzącą, wbrew ogólnemu przekonaniu, że klimat tamtejszy wcale nie szkodzi ani jedwabnikom, ani morwom. Koni włościańskich, jako nienależących do rasy szlachetnej, nie umieszczono na wystawie; wyznaczono dla nich podrzędne i ustronne przedmieście! Dotąd włościanie na wszelkich wystawach zajmują szary kącik, z łaski dany, bo i czyjąż uwagę zwrócą ich okazy na turnieju zamożnych, gdzie zachwyt wywołują publiczności i korespondentów „Przedświty" i „Sułtanki" krwi arabskiej? Czy prowincyonalne wystawy przemysłowo-rolnicze przynoszą wielką korzyść ogółowi? Dotąd można powiedzieć, że — nie, gdyż nie odpowiadają zupełnie swemu zadaniu. W innem miejscu zwracaliśmy już uwagę, że wystawy mniejsze, przeznaczone dla drobnych wytwórców, odpowiednio urządzone, mogłyby ogromne korzyści przynieść. *Dień* opowiada, iż w niektórych powiatach gub. petersburskiej i permskiej urządzano wystawy wiejskie z żywem słowem, tj. przystępnymi wykładami. To też były one przyjęte przez włościan bardzo przychylnie i dodatnio oddziałały na ich gospodarstwo. To samo pismo radzi rozszerzanie jaknajbardziej owego przykładu, a przedewszystkiem czynny udział wszystkich sił inteligencyi prowincyonalnej. Byłoby to pogłębowe do znajmianie ludu we wszystkich palących sprawach gospodarstwa. Do tego potrzeba, aby wystawy takie były urządzane systematycznie, w zakresie tych gałęzi przemysłu, które są źródłem wyżywienia ludności wiejskiej z zastosowaniem przystępnych wykładów. Tym sposobem może się szybko podnieść rolnictwo i drobny przemysł. Przy brakach w oświacie szkolnej taką drogą lud otrzymałby nieobliczone korzyści: pod wpływem namacalnych przykładów w wielu razach ciemnota, przesądy by się rozproszyły, a wobec wszelkiego rodzaju klęsk elementarnych i epidemicznych włościanie wyrobiliby w sobie dostateczną siłę odporną.

Zen. P.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KOBIETY NA ZACHODZIE.

Niedawno na kartach *Prawdy* przytoczono prawo zwyczajowe, panujące na Koralowych wyspach oceanu Spokojnego. Mieszkańcy tamtejsi instynktowo odgadli,

że z chwilą przeludnienia wysepek zagraża całej ludności śmierć głodowa. Ażeby uniknąć tego smutnego losu, nie pozwolono kobiecie mieć więcej dzieci, niż 2—3. Nadto ciąży na niej, smutny i wstrętny dla nas, obowiązek zabijania potomstwa zaraz po urodzeniu, lub jeszcze w zarodku. Lecz niemowlę, gdy uda mu się przeżyć kilka godzin, jest już ocalonem. Ten okrutny w naszych pojęciach sposób ratuje byt całego społeczeństwa.

Stara Europa nie rządzi się takiemi zasadami; to też np. na każdą rodzinę angielską wypada przeciętnie sześcioro dzieci, z tych zaś tylko dwoje należy do płci męzkiej, czworo natomiast do żeńskiej. Jest to stosunek przerażający; tem bardziej groźne są jego następstwa pod względem społecznym, a zwłaszcza ekonomicznym.

Wprawdzie anglicy, naród, który uważa za grzech wchodzić w dzień świąteczny do szynku od ulicy, ale zapija się na śmierć w izbie od podwórza, pocieszają się tem, że już Biblia przepowiedziała taki stan rzeczy. Istnieje podobno w niej taki ustęp: „I siedm kobiet uchwyci onego czasu jednego mężczyznę i powie mu: Same będziemy się żywić i same postaramy się o przyodziewek, pozwól nam tylko do ciebie należeć.“ Statystyka wykazuje, że Anglia liczy pół miliona kobiet więcej, aniżeli mężczyzn; Londyn ma niemal dwa miliony samych niewiast, na jednego zaś nieżonatego mężczyznę przypada siedem panien.

Ten stan zwrócił na siebie uwagę ludzi poważnie myślących; od lat wielu tedy powstało mnóstwo stowarzyszeń, przeważnie niewieścich, które mają na celu usuwać złe skutki takiego przeludnienia kobiecego, o ile to leży w mocy ludzkiej. Jest rzeczą godną uwagi, że angielki nie posiadają zupełnie owej rzekomej wstydliwości, o której opowiadają na stałym lądzie. Przeciwnie, rządzą się one daleko większą otwartością, aniżeli niemka lub polka, w sprawie małżeństwa. W ich pismach nie znajdziesz zapalczywych tyrad, wygłaszających, że małżeństwo jest jarzmem. Każda kobieta w Anglii stanowczo oświadcza, że pragnie wyjść za mąż, gdyż ma do tego wszystkie prawa; stare panny zaś są jedynie ofiarą złych stosunków ekonomicznych, które obecnie wszystkim dają się we znaki. Tym ostatnim przecież służyć powinno inne prawo, a mianowicie pracy. Około zdobycia go krzątą się ciągle dużo związków, które z dniem każdym zbliżają się do wytkniętego celu. Zaznaczmy przytem, że i na tem polu kobiety rozwijają gorączkową działalność, przechodzącą nieraz w dziwactwo. Londyn gości w swych murach 161 klubów, których członkami mogą zostać wyłącznie panie. Z tych jest 28 czytelni; prócz tego trzynaście stowarzyszeń udzielających pomocy kobietom, piszącym szkice historyczne i literackie monografie; osiem towarzystw zajmuje się wydawaniem miesięczników i tygodników, poświęconych kobietom. Lecz również istnieje osiem kółek muzycznych, których uczestniczki schodzą się tylko na wspólne ćwiczenia w grze fortepianowej, siedemnaście wreszcie, które zmuszają i zobowiązują zapisane damy... do wczesnego wstawania.

Rzućmy teraz okiem na pole pracy.

Tutaj przedewszystkiem wymienić należy piśmiennictwo. Chętnie czytaną i zyskowną jego gałąź, powieść, zagarnęły w Anglii niemal całkiem kobiety. I tu leży zapewne przyczyna, dla której angielskie utwory beletrystyczne przypominają tandetę, sprzedawaną przez handlarzy. Dawniej, za czasów Dickensa i Thackeraya, było inaczej. Zresztą i śród kobiet przed laty kilkudziesięciu, kilkunastu nawet, zdarzały się pierwszorzędne i oryginalne pióra. Ujmowały je tylko te, które czuły do tego niemal bezwiedny popęd. Mary Edgworth i Jerzy Eliot pisały powieści dlatego, że miały wiele do powiedzenia ogółowi. Życie ostatniej nie starczyło nawet, by w pięknej i artystycznej szacie oddać wszystkie podniosłe myśli i uczucia, wrące w jej sercu i głowie. Jej listy, ogłoszone przez p. Cross, przedstawiają kopalnię, w której niejeden beletrysta może znaleźć potrzebny materyał do tworzenia. Obecnie, niestety, dzieje się inaczej. Są kobiety, umiejętnie lub średnio wykształcone, które nie czują ochoty, ani siły do zmudnego nauczycielstwa. A tu trzeba żyć. Obierają więc literaturę za źródło dochodu. *British Museum* przeznaczyło kilkanaście osobnych stołów dla czytelniczek. Są one wiecznie zajęte, nadto zaś mnóstwo kobiet siedzi pospołu z mężczyznami. Z ksiąg czerpią powieściopisarki natchnienia do swych zawsze trzechtomowych utworów, nic więc dziwnego, że z pod ich pióra wychodzą postacie znane, spłowiałe i przenicowane.

Istnieją przecież i inne działy, w których kobiety nietylko zdobywają utrzymanie, lecz oddają społeczeństwu wielkie usługi. Wychowanie małych dzieci wyłącznie, szkoły dla starszych w znacznej części i kilka katedr uniwersyteckich spoczywa w niewieścich rękach. Nadto owładnęły one służbą zdrowia w szpitalach wszelkiego rodzaju.

Początkowo uczyły tylko w szkołach ludowych i przewodniczyły ogródkom freblowskim; zwolna przecież same zapragnęły gruntowniejszego wykształcenia i profesorskiej godności. Z ciała nauczycielskiego wyższych szkół kobiecych pousuwały mężczyzn, a nadto zdobyły sobie równe z nimi prawa w uniwersytecie. W Londynie, Oxfordzie, Aberdeen, Edynburgu i Dublinie słuchają wykładów wspólnie ze studentami, tylko mieszkać muszą w oddzielnym budynku. Liczne stypendya i nagrody uwieńczają pracę najpilniejszych studentek. Najzdolniejsze zdobywają nawet posady asystentów.

Służba zdrowia rozwinęła się w Anglii niezmiernie od czasu, kiedy zaczęły garnąć się do niej kobiety inteligentne. Dawniej z pogardą spoglądano na dozorczynie chorych, uważano je za kobiety upadłe. Zwolna przecież ów przesąd zniknął. Dzisiaj pielęgnowanie chorych stało się umiejętnością i pięknym, a szlachetnym zawodem. Przejście od dozorowania do leczenia było takim samym krokiem, jak od szkół elementarnych do uniwersytetu. Ogół patrzy jeszcze nieco nieufnie na doktorki; rząd atoli popiera ten ruch wszelkiemi siłami. *London School of Medicine for Women* rozporządza znacznymi środkami materyalnymi i cieszy się znaczną liczbą studentek. Do rady zarządzającej należy kilku arystokratów, a nawet biskup londyński. Każda uczenica wraz z dyplomem dostaje prawie natychmiast i miejsce. Nie zawsze uda się pozostać w Londynie przy nowym szpitalu kobiecym lub podobnych na prowincyi; często trzeba jechać do Indyj. Szpitale w Bombay, Madras i Lahore liczą śród swego lekarskiego ciała znaczny procent kobiet. Zapewniony przecież własnemi siłami byt materyalny dodaje odwagi do podróży w dalekie strony.

Brak nam cyfr, żeby wykazać udział kobiet w pracy przemysłowej, lecz i tutaj jest on bardzo wielkim.

Zajrzyjmy do Niemiec. Skarżono się już od dawna w tej ojczyznie filozofów na upadek stanu profesorskiego. Czytaliśmy kilka obszernych broszur i mnóstwo artykułów dziennikarskich, w których wykazywano, za pomocą wiarogodnych dowodów, że katedry uniwersyteckie w Niemczech dostają się zazwyczaj karyerowiczom. Tych zaś zalecają nie zdolności, nie usilną pracą zdobyta wiedza, lecz giętki kark i umiejętność „przystosowania się“ do danych warunków. Wybitnym typem tego rodzaju ludzi jest H. von Treitschke, historyograf pruski, o którym pisał Jarochowski w szkicu p. n. *Historya na usługach polityki*. Niedawno w tej sprawie literat niemiecki Flach zabrał głos w *Magazin f. Lit.* Oświetla on tę sprawę z innej strony. Twierdzi bowiem całkiem poważnie, że przyczyną obniżenia się wartości profesorów, szczególniej w mniejszych uniwersytetach, są... kobiety.

Oto krótkie streszczenie jego obszernych wywodów:

Niemal każdemu uczonemu brak praktycznej znajomości życia. Rzucony w wir spraw bieżących, przedstawia smutny widok ryby, miotającej się na piasku. W domu więc przewodzi nad nim żona, która powoli zdobywa sobie nad małżonkiem przewagę i w jego własnym zawodzie. P. Flach przytacza przykłady, że w mniejszych uniwersytetach wszyscy interesanci zamiast do profesora, udają się do jego żony. Kto doktoryzuje się, prosi jej, żeby męża przychylnie usposobiła dla rozprawy, docent zaś, dobijający się o katedrę, błaga o dobrą notę do ministeryum i pochlebną ocenę wydanego przez siebie dzieła. Ktokolwiek więc z docentów pozyskał sobie żonę swego profesora, ten w następstwie obejmował po nim katedrę. Byli tacy, którzy wysługiwali się po lat kilkanaście tym paniom rozmaicie, w nagrodę zaś za tę służbę mogli potem uczyć młodzież, przyszłe podpory społeczeństwa. Ci natomiast, którzy więcej cenili własną godność, do śmierci pędzili smutne życie bezpłatnych docentów.

Powaga pisma, które ów artykuł (*Die akademische Frau*) pomieściło, zmusza nas przypuścić, iż w skardze p. Flacha na kobiety niemieckie wogóle, a żony profesorskie w szczególności, tkwi choć jedno ziarnko prawdy.

A. N.

BADANIA NAUKOWE.

ZAGADNIENIA ANTROPOLOGICZNE.

III.

Zlanie się ras drogą krzyżowania, być może, niepodobne do wykonania. — Historyczny rozwój kwestyi. — Mieszaniec nie jest całością harmonijną, lecz zlepkiem mechanicznym. — Udowodnienie twierdzenia i niestateczność mieszańców, spłodzonych przez podłużnogłowych blondynów z murzynami. — Wnioski. — Sprawa krzyżowania wśród ras „białych“ Europy. — „Rozniemczenie“ południowych Niemiec.

W artykule poprzednim doszliśmy do wniosku, iż przepaść umysłowa pomiędzy oddzielnemi grupami ludzkości musi z upływem czasu wzrastać coraz bardziej, nawet przy najkorzystniejszych warunkach rozwoju dla ras niższych. Postępowe przemiany ustroju maszyny mózgowej mogą doprowadzić do ukazania się na globie ziemskim istot w rodzaju owego anthropotheomorphusa Topinarda, obok jednoczesnego istnienia względnie nizko postawionych ssaków dwunożnych. Cokolwiekbądź przecież nastąpi, jedno nie ulega wątpliwości, iż, jeżeli kiedykolwiek kultura rozpostrze się równomiernie w różnych zakątkach ziemi, ówczesna ludność w żaden sposób nie będzie przedstawiała rezultatu zlania się istniejących obecnie szczepów rasowych. Wykazaliśmy już, że to pociągnęłoby za sobą roztrwonienie wielowiekowego dobytku mózgowego, nagromadzonego u ras wyższych. Atoli rozwój, odbywający się w łonie „ludzkości,“ jest procesem żywiołowym, wysuwającym nowe stosunki bez pytania się o pożytek lub szkodę, które stąd wynikną. Może też sprowadzić zupełne pomieszanie ras niejednakowej wartości, jak już wywołał w różnych miejscowościach tak śmiertelne dla ludów pierwotnych zetknięcie się z niemożliwą dla nich i niepojętą cywilizacyą europejską. Są jednak względy, pozwalające wątpić, iżby takie skrzyżowanie wszystkich grup dwunożnych ssaków mo-

gło kiedykolwiek nastąpić. Otóż, materyał, nagromadzony przez antropologię nowoczesną w przedmiocie uzdolnień ras ludzkich do wzajemnego a należycie płodnego krzyżowania się, z pewną stanowczością powątpiewa o skuteczności płciowego obcowania niektórych grup człowieczeństwa. Jest to kwestya, od lat wielu najbardziej roznamiętniająca antropologów. Jedni twierdzą z całą wiarą, iż krzyżowanie może wydać jedynie dodatnie rezultaty. Pitcairnończycy stanowią dla przedstawicieli tego obozu ciągle przytaczany dowód. Grono zbuntowanych majtków angielskich, w obawie kary, schroniło się na niezaludnioną jeszcze wysepkę Pitcairn z pewną ilością kobiet polynezyjskich Założona kolonia rozpładza się własnemi siłami od kilku dziesiątków lat, wydając zdrową i inteligentną ludność. Inni badacze potępiają znów z całą stanowczością krzyżowanie międzyrasowe. Niemożliwość przeprowadzania doświadczeń, brak należycie ustalonych faktów, interesy partyjno-społeczne, wszystko to sprawia, że nadzwyczaj trudno wyrobić sobie własny sąd w tej mierze. Ze sporów pomiędzy dwoma wspomnianymi obozami wynieśliśmy przekonanie, iż śród faktów, przytaczanych przez rzeczników krzyżowania, nie ma ani jednego, którego doniosłości nie dałoby się osłabić lub nawet zbić zupełnie. Nawet pitcairnończycy nie mogą służyć za taki dowód bezwzględny. Przedewszystkiem zaświadczają oni jedynie, iż krzyżowanie wydaje dodatnie skutki — lecz w obrębie dwóch szczepów. Następnie, ludność polinezyjska powstała między innemi z wchłonięcia pierwiastków indonezyjskich, zaledwie przed kilkoma laty wydzielonych przez naukę antropologiczną ze szczepu malajskiego — pierwiastków białych, nader zdolnych oraz przedsiębiorczych, i być może pokrewnych niektórym grupom Europy. Natomiast śród materyału faktycznego, nagromadzonego przez przeciwników krzyżowania znajdują się dowody, których wiarogodności nie zaprzeczają nawet najzapalczywsi obrońcy międzyrasowego pomieszania, a przytem dowody tego rodzaju, iż przy bliższem wejrzeniu w ich istotę nabieramy niezbitego przekonania, że w wypadku przynajmniej niektórych grup rodu ludzkiego niepodobna mówić o dodatnich skutkach zlewania się ras. Wobec tych faktów należy się zgodzić z poglądem, wygłoszonym jeszcze przed laty 30 przez Broca, iż skutki dodatnie lub ujemne krzyżowania są rzeczą względną, zależną od ras, nad któremi czynimy spostrzeżenia.

W każdym razie wywody nasze opierać będziemy na owych, niezaprzeczenie ustalonych faktach. Nim jednak do tego przejdziemy, rzekniemy jeszcze słów kilka o historycznej stronie kwestyi. Zagadnienie, zajmujące nas obecnie, postawione zostało po raz pierwszy w całej rozciągłości przez antropologów amerykańskich szkoły Mortonowskiej. Znaleźli się oni wobec bogatego materyału, wskutek jednoczesnego istnienia obok siebie trzech odrębnych grup rodu ludzkiego — „białej,“ „czarnej“ i „czerwonej.“ A lubo i w innych okolicach globu ziemskiego nastąpiło zetknięcie podobnież licznych i odmiennych typów, nigdzie jednak warunki nie ułożyły się tak korzystnie dla badań naukowych. Na podstawie bogatej praktyki leczniczej, dr. Nott wykazał istnienie faktów, rzucających zupełnie nowe światło na sprawę krzyżowania. Jego wywody wzbudziły wielkie zajęcie, tem bardziej, iż przypadły na czas, kiedy w Stanach Zjednoczonych poczęło się ścieranie zdań z powodu projektowanego zniesienia niewolnictwa, ścieranie, które, jak wiadomo, doprowadziło do wojny domowej. Naukę wciągnięto w wir polityczno-społecznych namiętności. Wyszło to wszakże bardzo na korzyść badaniom antropologicznym. Ukazały się prace takiej pierwszorzędnej wartości jak *The indigeneous races of the earth* i *The types of Mankind* Gliddona i Notta, *The races of the man* Knoxa. Bogatym zbiorem faktów poparto następujące twierdzenia: „za pomocą praw krzyżowania możnaby zupełnie wytępić cały rodzaj ludzki, gdyby pozwolono na zupełne i doskonałe pomieszanie istniejących na ziemi różnych typów;“ „rasa wyższa bezwarunkowo zostaje upośledzoną przez jakąkolwiek domieszkę z niższą,“ itd. itd. W Waszyngtonie powstały nawet towarzystwa w celu powstrzymania krzyżowań dla ocalenia dzielności odrębnych ras. Ten spór naukowy przedarł się i do Europy. W Anglii przyjął w nim gorliwy udział — uczony pierwszorzędnej powagi Crawfurd; we Francyi — znany antropolog Broca, zajmujący w tej nauce stanowisko Lamarcka w zoologii. Zauważmy, iż obaj uczeni przyznawali ujemność krzyżowania — wprawdzie tylko w pewnym zakresie — będąc jednocześnie zaciętymi przeciwnikami niewolnictwa. To zupełnie oczyszcza ich od zarzutu stronniczości, stawianego względem amerykanów. Wkrótce kwestyę wniesiono na posiedzenia paryskiego Towarzystwa antropologicznego *). Wywołała tu ona żywe rozprawy i mnóstwo monografij, i dopiero reakcya, która zapanowała w nauce po wojnie francusko-niemieckiej, uśmierzyła zainteresowanie.

Zatrzymaliśmy się nad dziejami tej sprawy tylko dlatego, aby pokazać, przez ile zarzutów musiały przebyć wszelakie fakty, nim ostatecznie i jednozgodnie uznane ich wiarogodność. Wprawdzie niewszyscy przyjęli, a raczej przyjąć ośmielili się wyprowadzone wnioski. Mniejsza jednak o to, jeżeli przyznano podstawę faktyczną. Przejdźmy do wyłożenia jej.

Otóż cała tegoczesna antropologia wraz ze wszystkiemi poszukiwaniami w dziedzinie etnologii opiera się na twierdzeniu, iż w mieszańcu cechy antropologiczne różnorasowych przodków nie zlewają się w jakąś harmonijną i przeciętną całość, lecz, przeciwnie, układają się mechanicznie, w ten sposób, iż jedne części organizmu są spadkiem po jednym, drugie po drugim rodzicu. Prawdę tę teoretyczną świetnie udowodnił skandynawski uczony, von Düben, na międzynarodowym kongresie archeologii przedhistorycznej i antropologii w Sztokholmie. W Skandynawii zetknęły się mianowicie trzy bardzo charakterystyczne typy antropologiczne: szwedzki (podłużnogłowy blondyn), lapoński i fiński. Jeszcze w czasce trzeciego pokolenia mieszańców można wskazać, która jej część od jakich pochodzi przodków. Wobec tego nauka antropologiczna zmuszoną została do wniosku, iż przy tworzeniu się płodu małżeństwa mieszanego siły dziedziczności układają się rozmaicie w każdym odmiennym punkcie. Co więcej, ułożenie to zależy od różnych już indywidualnych właściwości rodzicielskich i nie odbywa się według jakichkolwiek zasad symetryi.

Po tem objaśnieniu przechodzimy do rezultatów skrzyżowania „białego“ i „czarnego“ ssaków dwunożnych, przytem uwzględniać będziemy szczególnie nie liczebność, lecz jakość świadectw. Ojciec czarny, matka biała, dziecko zupełnie podobne do ojca bez najmniejszych rysów, które przypominałyby matkę. Ojciec biały, matka czarna: bliźnięta — jedno czarne z wełnistymi, drugie białe z gładkimi włosami. Ojciec biały, matka czarna: prawa połowa dziecka zapożyczona u rasy białej, lewa u czarnej. Cóż mówią te wypadki? Po pierwsze, siła dziedziczności w razie zmieszania rozpatrywanych ras działa bez żadnej zasady, wytwarza nie jakąś postać harmonijną, lecz zlepek mechaniczny. Wszyscy mulaci należą do tej kategoryi, jakkolwiek przeciwieństwo ras rodzicielskich nie zawsze bywa zaakcentowane w podobnie silnym stopniu. Powtóre, płód, będąc mechanicznem zestawieniem właściwości rasowych, może nie być dopasowany do organów wewnętrznych matki, co pociągałoby za sobą mnóstwo poronień, nieszczęśliwych porodów i wreszcie niepłodność *). Wszystko to są fakty, pozwalające wątpić o trwałości rasy mieszanej. I oto Nott stanowczo wykazuje istnienie następujących objawów: mulaci należą do najbardziej krótkowiecznych typów ludzkich; lubo co do uzdolnień zajmują pośrednie stanowisko pomiędzy rasami rodzicielskiemi, odznaczają się wszakże jakąś dziwną niewytrzymałością na mozoły i trudności; zwłaszcza kobiety są nader delikatnej budowy, podlegają mnóstwu chorób chronicznych, źle rodzą, nie miewają pokarmu, często ronią; potomstwo mulackie umiera w wczesnym wieku, sami mulaci są pomiędzy sobą mniej płodni, niż wchodząc w małżeństwo z jakąś rasą rodzicielską. Są to rezultaty 25-letniej praktyki autora pomiędzy ludnością mieszaną połudn. Karoliny i Alabamy. Przytoczone objawy są zgoła zrozumiałymi wobec owego mechanicznego zestawienia cech antropologicznych. Zaiste, rozważmy zachowanie się sił dziedziczności w wypadku, gdy mulaci zawierają pomiędzy sobą związek małżeński. W każdym punkcie ich organizmu układ sił dziedziczności jest odmienny, u jednego rodzica przeważają pierwiastki czarne, u drugiego — białe. U ich potomka wywoła to jeszcze większą nieregularność ze zmniejszeniem płodności lub sprowadzi cofnięcie się w kierunku jednego z pierwotnych typów czystych. Innemi słowy, mieszańcy rasy białej i czarnej, pozostawieni samym sobie, muszą albo wymrzeć, lub też powrócić do jednej z ras pierwotnych. O ustaleniu i utworzeniu jakiej nowej odmiany pośredniej i z określonemi piętnami fizycznemi, nie może być mowy. I rzeczywistość zupełnie potwierdza te przypuszczenia. Dość powołać się na *Historyę Jamajki* Longa, wydaną w r. 1774, kiedy jeszcze nie łamano sobie głowy nad podobnemi zagadnieniami. „Wogóle mulaci jamajscy są dobrze zbudowani, mulatki zaś obdarzone pięknymi rysami. Niektórzy zawierają małżeństwa pomiędzy sobą, lecz te związki bywają zwykle niepłodnymi. Pod tym względem mają coś z natury mułów i mogą posiadać potomstwo jedynie w obcowaniu z białym lub czarnym.“ Świadectwa powyższe brzmią wymownie; usiłowano zaprzeczyć płynącym z nich wnioskom, lecz musiano przyznać ich autentyczność, lubo z pewnemi ograniczeniami. Bądź co bądź, zbijają one marzenia Bodichonów i in.: „W dalekiej przyszłości, wskutek zmieszania krwi, na globie ziemskim nie będzie ani żółtej, ani też białej lub czarnej rasy. Będą jedynie mieszańcy z mniejszemi różnicami uzdolnień, z bardziej rozwiniętemi sympatyami, z lepiej ustalonem braterstwem. Zapanuje jaknajlepsza zgoda, gdyż zanikną wstręty rasowe i jedynemi różnicami będą lekkie odcienia, wywołane przez klimat.“ Są to mrzonki, ponieważ właśnie według wszelkiego prawdopodobieństwa niektóre grupy nigdy nie wytworzą zdolnej do utrzymania się rasy mieszanej. Pytanie tyl-

*) Zanotujemy dwa szczegóły. Rozprawę swoją o *Hybrydyzmie* Broca zaczął czytać w biologicznem Towarzystwie paryskiem, lecz po kilku wykładach prezes zamknął je, iżby dyskusya nad tak „niebezpiecznemi“ kwestyami nie pociągnęła jakichś nieprzyjemnych skutków. Pewna ilość członków wystąpiła, zakładając Towarzystwo antropologiczne, które wkrótce taką zyskało sławę, iż kiedy w Madrycie powstało podobne, z Izby kortezów wniesiono do rządu zapytanie, co znaczy istnienie Towarzystwa antropologicznego w kraju katolickim?

*) Na razie możemy przytoczyć dowód od Engelmana: *Die Geburt bei den Urvölkern*. Czerwonoskórzy odznaczają się małą głową. Otóż głowy płodu, poczętego od człowieka białego, okazują się często zbyt wielkiemi dla organów rodzenia czerwonoskórki. Tegoczesna antropologia francuska częste poronienia w Paryżu czyni również zależnemi od skrzyżowania różnych ras europejskich.

ko, jakie. Dotychczas np. mówiliśmy o rasie „czarnej“ i „białej.“ Lecz, jak wiadomo, są to śmietniska, gdzie pod jedną nazwą zgromadzono żywioły bardzo różnorodne. Otóż Nott czyni ciekawą uwagę, iż przy skrzyżowaniu się blondyna północno-europejskiego z murzynem, skutki ujemne występują mocniej, wówczas gdy dla brunetów z południa zacierają się one w silnym stopniu. Podobnież, możnaby wskazać kilka innych przykładów w jednym i w drugim kierunku. Kwestya krzyżowania jest bardzo zawikłaną i dopiero przyszłość może oświetlić jaśniej zagadnienie, bezwarunkowo najpierwszej wagi dla rodu ludzkiego.

Z krzyżowaniem ras wstępujemy znowu na arenę licznych pytań praktycznych, dotyczących Europy. Nim jednak zatrzymamy się nad niemi nieco bliżej, zauważymy, iż streszczonym powyżej poglądom trzeba nadać jedno tylko znaczenie — nie istotnych zdobyczy i pewników naukowych, nie wysoce prawdopodobnych hypotez, lecz jedynie dowodu, iż istnieje coś, zasługującego na zbadanie. Są to przypuszczenia, pociągające śmiałością i oryginalnością, lecz pozbawione dotychczas podstawy należytej. Widzieliśmy już poprzednio, iż w Europie istnieje obok siebie około 5 odmiennych typów antropologicznych. Według takich powag, jak Hamy, Quatrefages, Kollman itd., niektóre z nich odtwarzają w zupełności typy kopalne z epoki czwartorzędowej. Istniałyby więc one w Europie od całych dziesiątków tysięcy lat. Nicolucci daje jeszcze wymowniejszy dowód. Wykazuje, iż stosunek pomiędzy różnemi kategoryami antropologicznemi, zauważony śród czaszek pompejańskich, istnieje bez zmiany po dzień dzisiejszy w ludności okolicznej; nawet i obecnie spotykamy tu dosłownie te same typy, które możemy oglądać na rysunkach Pompei. Dowodzi to wielkiej trwałości ras europejskich. Teraz pytanie: jak one zachowują się we wzajemnem krzyżowaniu? Otóż znajdują się autorzy, dowodzący, iż nie są zdolne do wytworzenia ustalonego typu mieszanego. Ich zdaniem, mieszańcy „biali“ utrzymują się jedynie wskutek ciągłego łączenia się grup zasadniczych pomiędzy sobą: gdyby ono ustało, i ci by zniknęli. Co więcej, niektórzy idą jeszcze dalej w swych twierdzeniach. Zauważają, iż pierwotne nawarstwowania rasowe były klasowemi i stanowemi. Związki małżeńskie zawierano w obrębie własnego stanu i w ten sposób zachowywano czystość rasy. Zmieszania były rzadkiemi. Postać rzeczy uległa zmianie od rewolucyi francuskiej; odtąd następuje pomieszanie bez przeszkód i granic, wraz ze wszystkiemi następstwami — dysharmonią organów fizycznych, powodującą niepłodność; unicestwieniem popędów rodzicielsko-gatunkowych; rozdźwiękiem uczuciowym. Szczególniej antropologia francuska usiłuje związać obecny stan polityczno - społecznego rozprzężenia we Francyi z tego rodzaju czynnikami. „Mieszaniec z krótkogłowca i podłużnogłowca dziś czuje jak pierwszy, jutro — jak drugi. Już jest pełnym energii i przedsiębiorczym, już oszczędnym i ostrożnym. W rezultacie nie wie, czego chce. Popędy jednej rasy prą go w jednym, drugiej — w drugim kierunku“ — tak brzmią wydawane sądy. Są to jednak przypuszczenia, od których wypadałoby zażądać przedewszystkiem więcej dowodów. Natomiast z większą pewnością możemy zaznaczyć inne zjawisko — „rozniemczenia“ południowych Niemiec. Hordy germańskie z IV i następnych wieków, o ile można sądzić z opisów historyków ówczesnych i z wykopalisk kurhanowych, składały się z niebieskookich i podłużnogłowych blondynów. Tymczasem w Wirtembergii, Bawaryi, Badenie typ ów należy obecnie do najrzadszych. Na pierwszem miejscu stoją bruneci krótkogłowi. Zebrany materyał naukowy wykazuje, jak w kolei wieków w ludności tutejszej coraz bardziej ubywa procent blondynów, czyli jak wspomniano terytorya „rozniemczają się.“ Swego czasu zjawisko to narobiło w Niemczech wiele wrzawy. Wytłomaczyć je można naprzód względną niestałością wszelkiego typu mieszanego, powtóre usadowieniem się stosunkowo niewielkiej garstki najezdników germańskich śród ras odmiennej ludności — „celtyckiej.“ Wskutek krzyżowania, blondyni zanikali w mieszańcach, ci zaś następnie wsiąkali w pierwotne, liczniejsze podściełisko rasowe...

Powyższe wywody zupełnie uprawniają znaczenie, które nadajemy kwestyi krzyżowania. Fakty, wnioski — wszystko to może być błędnem, lecz samo ich istnienie wskazuje na coś ważnego a niezbadanego. Sądzimy, iż ród ludzki w dalszym swym rozwoju zmuszony będzie, być może pod groźbą zwyrodnienia, zwrócić bardzo wielką uwagę na podniesione tu pytanie, traktowane zresztą przez nas nader ogólnikowo i pobieżnie *).

Lud. Krz.

*) Interesujących się bliżej tym przedmiotem odsyłamy do artykułu w najbliższym (trzecim) nr. *Wisły*, gdzie rozpatrujemy kilku wybitniejszych zwolenników przedstawionego tu kierunku. Najważniejsze prace ukazały się w *Bulletins i Mémoires* paryskiego Towarzystwa antropologicznego. Zabierali glos Perier, Broca, Boudin, Sanson. Zwłaszcza zasługują na uwagę: Broca, *Récherches sur l'hybridité* (w I tomie zbiorowego wydania dzieł). Perier, *Essai sur les croisements èthniques* (*Mémoires de la Société d'Anthr.*, tom I—III). Nadto Crawfurd *On the commixture of the Races of man* w I tomie *Journal of Anthr. Institute.* Z kwestyą krzyżowania ras łączą się bezpośrednio dwie inne — kazirodztwa oraz najwydajniejszej uprawy ludzkiej maszyny mózgowej.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

W. Chicińska: *Nauka przed sądem życia.* Warszawa, 1888.

Bogumił Hoff: *Lud cieszyński, jego właściwości i siedziby—obraz etnograficzny.* Warszawa, 1888.

Stanęła więc „przed sądem...“ A ja myślałem, że tak jest niewinna, jak dziecko nowonarodzone! Zdawało się, że u nas — szczególniej u nas — żadnych dotąd szkód nie zrządziła. Lgniemy do wszystkiego — tylko nie do niej. Świątynie — przepełnione ludem, w przybytkach bachusowych gwarno, dzieł poważnych nikt prawie nie kupuje, a pomimo to „wiedza“ zakuwa nas w pęta, „wynaturza“ i pesymizmem napaja. Oddani analizie, rozproszylibyśmy się za życia na drobne atomy, gdyby nie... pani Chicińska, która na siedmiu kartkach małej ósemki różne gałęzie nauki zgłębiwszy, dotarła do niebezpiecznych kresów i ostrzegła, że przy zniczu wiarowym skrzepłe członki ogrzać potrzeba.

Posłuchajmy oskarżenia. „Narodzona z bezwiednego popędu, przez czas dłuższy kierowała się nakazami poczuć człowieczych, owych instynktów wewnętrznych. Ufna jednak w potężniejące swe z rokiem każdym siły, przeciwstawiła się poczuciom tym, przestając je sankcyonować. I oto powstał rozdźwięk pomiędzy nauką dzisiejszą a życiem (może właśnie dlatego, że *nauka* twarde warunki *życia* w pochodzie swym prześcigła?). Dzieląc się niegdyś władzą z owymi instynktami, urosłszy w znaczenie, dziś po wytrącone owym instynktom berło despoty sięga. Zawcześnie jednak. *Nie prędzej berło to ze spokojem oddamy ci, aż nam podstawowe i szczytowe zagadki bytu rozwiążesz* (skromne żądanie!), aż zewnętrzne warunki z prawami wewnętrzności naszej pogodzisz, *aż nam stworzysz życia harmonię*! (cóż wtedy jeszcze do zrobienia ludziom pozostanie, jaka nowa przyszłość świecić nam będzie?). Nim jednak szczęśliwy moment ten w dziejach naszego rozwoju nastąpi, *niech zdobyte wiekową pracą uświadomienie się*, jak niegdyś rozkuło nas z kajdan ślepego czucia, *posłuży dziś za obronę od myślowej niewoli*!“ Co za pomieszanie pojęć! To, co pani Ch. „niewolą myślową“ nazywa, dla nas jest szczytem wolności — a tak jeszcze dalecy od tego celu jesteśmy. W dalszym ciągu próbuje autorka zbudować, dla oświecenia spętanego przez wiedzę społeczeństwa, niby latarnię morską — pałacyk z kart — na dawno zapomnianej, trójkątnej podstawie. „*Instynkt, wiedza i wiara* (powiada ona), to całość ducha ludzkiego; ze związku też i równomiernego rozwinięcia wszystkich tych trzech czynników urabiać się ona winna; nic z tej trójcy wykreślić, o żadnej z jej oddzielnych części zapomnieć nie wolno.“ Bądź pozdrowiona tezo, antytezo i syntezo nieśmiertelna — błędne koło w tajemniczą mgłę spowite!..

Mówmy poważnie. Drobna praca p. Chicińskiej porusza kwestyę, godną głębszego zastanowienia; ale w taki sposób, że niewiadomo, co z tym fantem robić. Przekonania autorki, jeszcze nieskrystalizowane, zaledwo się wyłaniają z potopu komunałów, niezdolnych przed oczyma czytelnika żadnej rozwinąć prawdy. Niechże tedy nastrój uczuciowo religijny oprze się na właściwym gruncie i uzbroi w dowody, niezbędne do podtrzymania własnej godności. Obecnie *jakobizm* pani Chicińskiej przedstawia jedną tylko cechę oryginalną, której mu żadna pewno nie pozazdrości szkoła — styl gładki, ale ciemny, bezbarwny i monotonny, lubujący się w nowych a niezgodnych z duchem języka wyrazach (*przywilejować*, *nieurostennik* itp.).

Praca etnograficzna, jaką społeczeństwu naszemu p. Bogumił Hoff przynosi w upominku, do pożądanych w piśmiennictwie należy zjawisk. Kto wie, czy nie najbardziej malowniczem na ziemi niegdyś polskiej ustroniem jest gmina, „Wisłą“ zwana, kąpiąca się w źródłach macierzystej rzeki wód naszych. Na siedmiu milach kwadratowych, pośród gór i dolin, mieszka lud pięciotysięczny, wyznający przeważnie religię ewangielicką, a mówiący po polsku. Autor zbadał bieg rzeki (od góry Baraniej aż do Ustronia), opisał jej wybrzeża, nakreślił mapę rozległej gminy, odtworzył wreszcie cały obraz fizycznego, materyalnego i duchowego jej bytu.

Słabą stronę ośmioarkuszowej pracy stanowią błędnie skreślone dzieje Szlązka, i niedołężna korekta. Na str. 30 taką np. czytamy wiadomość: *Bolesław II* (zamiast *Władysław II*) w r. *1149* wygnany został przez braci, Szlązk oddany Bolesławowi IV, a *po nim* (?) zwrócony *synowi* Wład. II, Mieczysławowi I, w r. *1163*.“ Wygnanie Władysława, według „kroniki wielkopolskiej,“ czemu wtóruje Roepell, nastąpiło w r. 1142 (według innych—w 1146 lub 1148), a Szlązk, za życia jeszcze Bolesława Kędzierzawego, oddany został w posiadanie, w r. 1164, trzem synom Władysława: Mieszkowi Kulawemu, Bolesławowi Wysokiemu i Konradowi. Autor mówi ciągle o krainie nadodrzańskiej, jako o ziemi niepodzielonej, pod jednem zostającej berłem.

W książce p. Hoffa znajdujemy sporą wiązkę błędów stylistyczno - składniowych. Oto przykłady: „naszym *rzekom*, a głównie *Wiśle* nędzny *czeka* żywot;“ „musisz *postąpić* obok twojej dręczycielki;“ „zbudowanie w takich miejscach trwałych mostów tłomaczy się nietyle *kręcącego się biegu* Wisły, jak *trudności*;“ stara się *wpajać czystości* języka;“ „dni tu o dwie godziny krótsze, *jak* kalendarze głoszą;“ piły rozdrabniają starych mieszkańców borów, *owych słupów olbrzymich...*“ etc. Godnem wreszcie podkreślenia nadużyciem korektorskiem jest niezachwiana stałość w używaniu dwójki *ji*, zamiast *yj*, w wyrazach: obserwacyjny, galicyjski itp.

A. G. B.

Hilary Nussbaum. *Historya żydów od Mojżesza do epoki obecnej.* Warszawa, nakładem J. Majznera. 1888. Tom I. str. 266.

Książka p. Nussbauma jest pierwszą w języku polskim, w której znajdujemy opracowanie historyi powszechnej żydów na szerszą podjęte skalę. W Anglii, Francyi i Niemczech dzieł takich spora jest ilość, autor jednak nie trzymał się niewolniczo żadnego z nich. Czerpał wiadomości z pierwszej ręki, jak z Biblii i licznych do niej komentarzy, z ksiąg Machabeuszów i Józefa Flawiusza, z Talmudu wreszcie i dzieł rabinicznych— i przez to pracy swej nadał cechy samodzielności i oryginalności. „Historya potomków Izraela — czytamy w przedmowie — tej dziwnej społeczności, która przeżyła powstanie, rozkwit i upadek tylu narodów i państw, która więcej, jak po 3,000 latach świadomą jest swego istnienia, społeczności, która tylko przez głębokość i wzniosłość swej wiary, nieskończonym cierpieniom twardego losu się poddawała, a w końcu jak proch zdeptana, walczy jeszcze o swoją bytność, a przytem bierze udział w sprawach publicznego życia społeczeństw, wśród których żyje; historya tak dziwnego, pomiędzy wszystkie narody ziemi swe konary zapuszczającego, a jednak tak samotnie stojącego szczepu, nie może i nie powinna być dla nikogo obojętną." Tak usprawiedliwiwszy pracę swoją, a poniekąd i jej zakres, autor roztacza przed nami szereg jasnych i ciemnych obrazów, streszczających losy plemienia dziś po całym świecie rozproszonego. Opowiadanie jego wogóle płynie gładko i nieraz z prawdziwem czyta się zajęciem. Rozpoczyna się ono od narodzenia Mojżesza (około 1650 r. przed erą chrześciańską), a kończy (mianowicie wydany tom pierwszy) na zburzeniu Jerozolimy przez Nabuchodonozora (czy Nebuchadnecara — jak go autor nazywa) i uprowadzeniu żydów do niewoli babilońskiej około r. 576 przed erą chrześciańską. Dwa tomy następne, obejmujące dalszy ciąg dziejów izraelskich aż do wieku XIII po Chrystusie przygotowane już są do druku i wkrótce zapewne ujrzą światło dzienne.

Po wyjściu tych trzech tomów, autor ma zamiar napisać jeszcze dwa do trzech, w celu doprowadzenia dzieła swego do dni naszych. Co do poglądu na historyę, p. N. stoi na stanowisku niekrytycznem, lecz ściśle konserwatywnem. Wierzy we wszystkie cuda biblijne, wbrew hypotezom i teoryom niektórych badaczów, zaprzeczających autentyczności Pięcioksiągu—kruszy kopię za jedność tego Pięcioksiągu, współczesność jego części składowych i niewątpliwość autorstwa Mojżesza, a nawet lekkie czyni przymówki Renanowi za jego krytyczno-sceptyczne uwagi o tych samych przedmiotach. „Jeżeli — powiada — podług Renana objawienie było tylko zwykłem zjawiskiem przyrody, na szczycie Synaju często widzialnem, to gdzież jest boskość synajowego prawa, stanowiącego podstawę wszystkich objawionych religij? Jeżeli podług Renana prorocy byli tylko zwyczajnymi wyzyskiwaczami lekkomyślności ludu, to czem jest wyższy duch jednostek wznoszący się nad ogół, szybujący w wyższych sferach poznania, dochodzący do wyższych prawd, patrzący w dal, przewidujący następstwa, genialny w pomysłach, natchniony w ideach?"

O treści *Historyi* p. Nussbauma powiedzielibyśmy krótko, że za dużo zawiera faktów, a za mało, prawie nic o rzeczach istotnie ciekawych, a niemal nieznanych, jak o zasadach prawa mojżeszowego, o organizacyi państwowej u dawnych hebrajczyków, o związanych z nią instytucyach dobroczynnych itp., na co w dziele na rozleglejszy obszar zakrojonem dosyć było miejsca. Że p. N. miejsce to wolał zapełnić opowiadaniami o bitwach, sporach dynastycznych i przypuszczeniami, coby być mogło (np. na str. 243 i 244)— to niewątpliwie stanowi jedną z ujemnych stron jego książki. Do tych stron też zaliczyć należy pewne chropowatości językowe, które w dziele poważnem rażą niemile. Autor pisze np.: „Kananici *stali pod królami* (str. 37). „Jozue *obległ* Jerycho" (38). „Arka poprzedzona *kapłanami* (tamże). „Nowe *się osadziło* plemię" (str. 43). „Pokolenia nie *poczuwali* się do wdzięczności" (87). „Absalon *schronił się ucieczką*" (104). „Do *skarg w uciemiężeniach* ludu król nie dał powodu" (117). „Amacyasz był sparaliżowany przez upokorzenie" (163). „Państwo *osiągnęło* jeszcze *większego stopnia* rozwoju" (167). „Wieszcze *wywnętrzali* żałosne skargi" (242) itd. itd. Obok tego powtarzający się często w jednem i tem samem zdaniu zaimek „który," oraz stawianie słowa na końcu zdania (np.: „On (syn Saula) królestwo *ugruntował* i odłączone żywioły *związał*" (str. 89) każą czystość stylu p. Nussbauma.

Ad. J. Cohn.

STEFAN WUK KARADZIĆ.

(Wspomnienie).

Dnia 20 września r. b. obchodzili serbowie stuletni jubileusz urodzin jednego z najgłówniejszych twórców swojego odrodzenia, Stefana Wuka Karadzića, samouka, urodzonego z ludu w Terszycy, w okręgu zadarskim, w dzisiejszem królestwie serbskiem (1787 r.). Wiek XVIII był dla serbów stuleciem upadku i niedoli. Aby zrozumieć owe czasy, w których Karadzić, skutkiem braku szkół, uczył się czytać od swojego krewnego Jewty Sawića, winniśmy sięgnąć do wspomnień. Jęczący pod srogiem jarzmem otomanów serbowie, wiedli nędzny żywot, uprawiając w sposób pierwotny ziemię. Język ich wzgardzony ukrywał się w lichych lepiankach. Duchowni, acz pochodzący z ludu, gardzili mową ciemnego pospólstwa, popisując się językiem serbsko-cerkiewnym, którego najdawniejsze zabytki pochodzą z XII w. Do najcenniejszych jednak pomników tego dyalektu należy statut prawny z XIV w. p. t.: *Zakon błagowiernago cara Stefana.* Okrom prac teologicznych i prawnych, pisano nawet dzieła świeckie, drukowane w Wiedniu. Archimandryta Iwan Raić (ur. 1721, zm. 1801 r.) jest autorem książki serbsko - cerkiewnej p. t. *Istoria raznych narodow, najpacze Bolgar, Chorwatow i Serbow* (Wiedeń, 1794—95 w 4 tomach), tudzież *Kratkaja Serblii, Rasеii i Ramy istoria* (Wiedeń, 1793 r.). Stan oświaty serbskiej w XVIII w. przedstawiał widok opłakany. W nielicznych szkołach cerkiewnych, uzbrojony sękatym kijem *kaludjer* (bakalarz), uczył z psałterza czytać dziatwę wiejską. Jedyną wyższą instytucyą naukową było założone przez władykę grecko-wschodniego, Stefana Stratimirowića, seminaryum duchowne w Karłowicach, gdzie wykładano gramatykę serbsko-cerkiewną.

Smutną tę epokę upamiętnił działalnością swoją Dositej Obradowić (ur. 1739, zm. 1811 r.), niegdyś mnich, a później nauczyciel dzieci Jerzego Czarnego, wsławionego czynami bohaterskimi w obronie niepodległości serbskiej. Staraniom Obradowića zawdzięczać należy podniesienie języka ludowego do godności mowy piśmiennej, skrzętnie z naleciałości serbsko-cerkiewnego oczyszczonej. Na położonej więc przez Dositeja podwalinie rozpoczął Karadzić budowę wspaniałego gmachu oświaty narodowej. Szczególnym zbiegiem okoliczności, walcząc przy boku Jerzego Czarnego przeciwko turkom (1804 r.) zwrócił uwagę wodza, który go sekretarzem swoim mianował, W r. 1813 z powodu zajęcia Serbii przez turków, osiadł w Wiedniu, gdzie zachęcony przez lingwistę Kopitara, wydał zbiór pieśni serbskich p. t. *Mala prostonarodnja pesmarica* (1814 r.) i *Narodne srbske pjesme* (4 tomy, Lipsk i Wiedeń, 1823—33 r.) tudzież *Narodne srbske poslowice* (Cetynia, 1836 r., 2 wyd. w Wiedniu 1839 r.) i *Srbske narodne pripowjetke* (Wiedeń, 1853 r.). Najważniejszem zadaniem jego było opracowanie gramatyczno języka ludowego i ustanowienie nowej pisowni, zwłaszcza, że Dositej pierwsze w tym kierunku czynił próby. Pełen wytrwałości, nie bacząc na tysiączne przeszkody, dzieło swoje do skutku przywiódł. Z kijem w ręku i z sakwą na plecach zwiedzając Serbię, Bośnię, Chorwacyę, Dalmacyę, Hercegowinę i Sławonię, wydał ze słownikiem gramatykę serbską p. t. *Pismenica srpskoga jezika iz goworu prostoga naroda napisana* (Wiedeń, 1818 r.; wyd. 2 przy słowniku 1852 r.). Reforma ortograficzna Karadzića, tudzież wyswobodzenie serbszczyzny z pod wpływu cerkiewnego, niezwykłą wśród zwolenników dawnego porządku wywołało burzę. W 1832 r. władza serbska pod wpływem oskarżeń Jowana Hadzića Swetića, zabroniła prawnie używania nowej pisowni. Mimo tych prześladowań, wezwanym został przez rząd austryacki do opracowania nazw prawnych w części serbo-chorwackiej zbioru ustaw państwowych (1849 r.). Gorliwie też, bo wspólnie z Bożydarem Petranowićem, Jowanem Mazuranićem, Stefanem Carem i dr. Dymitrem Demeter, zajął się tą pracą, której trudność polegała głównie na nieustalonych pod względem prawnym nazw serbskich; istniejące bowiem w statucie cara Stiepana Silnego nie odpowiadały już nowoczesnym wymaganiom. W publicystyce zaznaczył się Karadzić redagowaniem almanachu p. t. *Damca* (5 tomów. Wiedeń i Buda). Tłomaczył Nowy testament na język serbski. Z prac historycznych pozostawił: *Milosz Obrenović* (1828 r.) i *Montenegro und die Montenegriner* (Stutgard, 1837 r.). Aż do zgonu swojego (1862 r.) przebywał w Wiedniu.

Nie mając tu wiele miejsca do zaznaczenia działalności piśmienniczej Karadzića, nadmieniamy tylko, że w gramatyce swojej zgasły autor trzy poniekąd narzecza główne wymienia: 1) hercegowińskie czyli chorwackie w Bośnii, Hercegowinie, Czarnogórzu, Dalmacyi i Chorwacyi; 2) rezawskie czyli tak zwane serbskie w miejscowości Braniczewo nad Rezawą, Lowacz nad górną Morawą w paratińskiem aż do Niegotina i 3) syrmijskie czyli sławońskie w Szremie i Sławonii, Baczka, Banacie, w Węgrzech środkowych, Serbii nad Sawą i Dunajem aż do rzeki Morawy. Podział ten nie jest ścisły, bo więcej geograficzny.

J. F. Gajsler.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Narady rolniczo - przemysłowe przy końcu XIX wieku. — Co je wywołało. — Nauka mądrości po szkodzie. — Dobrowolne zubożenie i brak pomnażających doświadczeń. — Typowy przebieg nowych upraw. — Spadek dla potomności. — Sieklerka i kijek. — Praca i koleje.—Płaszcz patryotyczny.— Kapitały krajowe. — Czego brak. — Pracownia chemiczna miejska i dr. Bujwid.— Czego u nas doczekały kongresy literackie.

Obcy badacz naszego życia mógłby ze słusznem zdziwieniem zapytać: dlaczego polacy przy końcu XIX w. zaczęli obradować nad hodowlą pszczół i jedwabników, nad uprawą chmielu i cykoryi, oraz innymi sprawami gospodarstwa? Skąd te zagadnienia wzięły się na porządku dziennym i czemu właśnie całą gromadą wystąpiły w jednej porze? Odpowiedź łatwa: bieda, mie-

wająca kazania tylko dla ludu, obecnie daje nam wszystkim lekcye praktyczne w szkole mądrości po szkodzie, w której każdy polak jedynie się uczy. Przyklaskując tym rozmaitym narodom: chmielarskim, pszczelniczym, ogrodniczym, cykoryowym itd., jednocześnie uczuwamy w sercu głęboki smutek, z pod którego dobywa się bolesny wyrzut: dlaczego my o tem wszystkiem pomyśleliśmy dopiero teraz, a nie, jak inne narody, przed laty 50, 100 lub 200! Nie możemy usprawiedliwiać zwłoki nawet tem, że nam przedmioty owych dumań i zabiegów nie były znane dawniej, że po raz pierwszy wchodzą do naszego gospodarstwa. Miód, chmiel, warzywa, owoce, nasiona wytwarzaliśmy od wieków, tylko lekceważyliśmy je; nie wznieśliśmy się nawet do rozumu chłopów czeskich i niemieckich, którzy oddawna praktycznie rozstrzygnęli kwestye, jeszcze dziś za twarde do zgryzienia dla naszej filozofii ekonomicznej. Lud nasz w pewnicznej swej nędzy i ciemnoości nie mógł myśleć o wyjściu z ciasnych granic tradycyi gospodarczej, szlachta z ekonomską wiedzą w głowie pamiętała tylko o zachowaniu kolei w obsiewie pól oziminą, jarzyną i kartoflami, obracając ten kołowrot dopóty, dopóki wygody życia na to pozwalały. Nagle czas wyważył rolnictwo z rutyny i przekonał najupartszych, że ziemia jest warsztatem pracy przemysłowej. Gdy zaś oziminy, jarzyny i kartofle z burakami przestały zapewniać rentę, zaczęto zwracać uwagę na płody drugorzędne i powierzać im rolę mnożenia źródeł dochodu. Przypomniano sobie miód, chmiel, jedwab, owoce a nawet dostrzeżono w nich światełko zbawcze. I oto stanęliśmy wobec dziwnego a niezmiernie zawstydzającego nas faktu: kraj stale nazywany rolniczym nietylko nie uprawiał wielu płodów z rolnictwem związek mających i zubożał się dobrowolnie, ale nawet dotąd nie przeprowadził należytych doświadczeń, co z korzyścią uprawiać może. W r. 1888 sami nasi przemysłowcy ziemscy jeszcze nie wiedzą, czy chwytane przez nich pomysły mają wartość praktyczną, czy jedwabniki, chmielniki i pasieki są przedsięwzięciami opartemi na istotnych potrzebach kraju i wytrzymującemi pomyślnie jego warunki. Nie posiadając należytych drogowskazów i pewników w doświadczeniu wypróbowanych, błąkamy się w mrokach, biegniemy za dziennikarską wiadomostką, za sąsiedzką radą, wreszcie za lada pogłoską, zakładamy dziś chmielniki a jutro ananasarnie, zarzucając jedne i drugie po pierwszem niepowodzeniu. Już by nam starczyło wytrwałości, ale nie mamy wiary w powodzenie naszych przedsięwzięć, bo nie widzimy wzorów i zasad pewnych. I to jest właśnie najprzykrzejsza strona naszych kłopotów. Chcielibyśmy produkować i nie wiemy co. Na zjazdach i zebraniach uczymy się dopiero abecadła gospodarczego, poznajemy nasze własne potrzeby i zasoby, które od lat wielu powinniśmy byli zbadać dokładnie. Przemysł występuje u nas ciągle jako moda i naśladownictwo zjednostajną koleją i końcem. Ktoś krzyknie, że trzeba uprawiać cykoryę, bo tyle a tyle pudów sprowadzamy jej z zagranicy. Na ten krzyk odzywa się głos z pod Włocławka, donoszący, że tam już istnieje uprawa cykoryi (o czem nikt nie wiedział), ale z powodu takiego lub innego nie daje wielkich zysków, chociaż ma przed sobą piękną przyszłość. Natychmiast prasa wywiesza na widok publiczny „kwestyę,“ odbywa się narada elementarzowa — i trzecia część ziemian rzuca się do uprawy cykoryi. Wkrótce występuje nadprodukcya, wszystkiej cykoryi kraj zużyć nie może, ten i ów traci, a zawiedziony otrębuje zapomocą pism przed narodem swój zawód, płoszy innych — i uprawa cykoryi zostaje zarzucona, ażeby na to miejsce wprowadzić coś innego — np. kawony lub tytoń — co ulegnie podobnemu losowi. Ostatecznie żaden nowy produkt nie utrwala się w kraju i ogół nie wie, co uprawiać może. Gdyby więc obecne zjazdy i narady doprowadziły przynajmniej do tego, ażeby następne pokolenia otrzymały od nas w darze szereg wskazówek praktycznych i wniosków doświadczalnych, byłby to piękny i pożądany dla nich spadek. Ale tym porywom musi koniecznie przyjść z pomocą nauka, tj. zmienione wychowanie młodych ziemian, którzy dotąd poprzestają na kilku klasach gimnazyalnych i z odrobiną łaciny, arytmetyki, geografii i katechizmu zabierają się do przemysłu rolnego. Z takim zasobem wiedzy można jeszcze być radcą Towarzystwa kredytowego ziemskiego, ale nigdy uzdolnionym przemysłowcem. Piękne dni Aranjuezu dla dzielnych mazurzystów, wprawnych jeźdźców konnych, uwodzicieli ładnych chłopek i próżniaków, utrzymywanych przez uczciwą ziemię, minęły. Wypowiedziała ona już im chleb niezapracowany i dłużej okpiwać się nie pozwoli.

Niedawno obchodziliśmy bardzo uroczyście święto zwycięztwa francuzów nad niemcami w Radzie zarządzającej drogi Warsz.-Wiedeńskiej. Obok zadowolenia dla sympatyj politycznych, mieliśmy — *nous autres* literaci kolejowi — uzasadnioną nadzieję, że tylowiekowi przyjaciele, którzy zresztą od czasów Napoleona są nam jeszcze coś dłużni, wypłacą się wielbicielom i wierzycielom odpowiednią grzecznością. Co do mnie, sądziłem, że co najmniej wszyscy redaktorzy otrzymają zyskowne posady, wszyscy literaci — bilety wolnej jazdy, stosownie do rangi, a doradcy opinii publicznej — węgiel kamienny po zniżonej cenie. Nagle przyjeżdża z Belgii nowy członek Rady, rewiduje książki i oświadcza, że ci z Nadwiślańskiej są bardzo roztropnymi ludźmi, a ich muza natchnęła również akcyonaryuszów Wiedeńskiej. Marzycieli ogarnęło rozczarowanie, ale bo kto przypuszczał, że francuz będzie oszczędniejszy od niemca. „Z pogłosek i faktów — powiada *Kuryer codzienny* — jakie już mamy przed sobą i jakie zapowiadane są na przyszłość, rodzi się obawa, czy czasem nie zarobiliśmy na owej zmianie, jak ów przysłowiowy stryjek, który to siekierkę na kij zamienił...“

Ile razy zabieramy głos w sprawie oszczędności kolejowych, zawsze wywołuje on dwa rozdźwięczne, przeciwne sobie tony: urzędnicy narzekają na wyzysk ich pracy, a członkowie zarządu — na rozpróżniaczenie się podwładnych. Obserwując ten zatarg zdala, trudno w każdym jego punkcie dostrzedz, po której stronie stoi słuszność. Natomiast nietrudno znaleźć właściwe stanowisko dla prasy w sądzeniu tego procesu. Nic nas nie obchodzi dywidenda akcyonaryuszów: czy ją dostają, czy nie, lub w jakim procencie, to jest dla nas równie obojętnem, jak zwycięztwo Rulera na torze wyścigowym. Ale co dla nas nie jest obojętnem, to stosunek każdej kolei do ogółu i dobro pracujących w niej ludzi. Wszelka nasza krytyka ma na widoku tylko te dwa względy. Jeżeli więc którykolwiek zarząd drogi żelaznej zastąpi bezład porządkiem, marnotrawstwo — oszczędnością, rozprzężenie — sumiennym rygorem, protekcyę — sprawiedliwą oceną uzdolnień i zasług — nic przeciwko temu nie mamy, bo taka rozumna gospodarka muruje mocne podstawy dla instytucyi, podnosi jej użyteczność i zapewnia byt jej pracownikom. U nas, dzięki rozmaitym „listkom na ustach,“ prasa milczy i nie prowadzi należytej kontroli nad kolejami, a jeżeli ktoś w nich wskaże nierząd, dotknięci przez nie wobec pobłażliwości mają czoło zasłaniać się „patryotyzmem.“ Już chyba czas, ażebyśmy pod tym szerokim i niebacznie wyszarzanym płaszczem przestali popełniać nadużycia i przekradać brzydkie grzechy. Zachowajmy go tylko dla czynów uczciwych i obywatelskich. Patryotycznej działa ten, kto dba o zachowanie ważnej instytucyi krajowej, niż ten, kto ją podminowywa własnym interesem.

Wracając do *Kur. codz.*, w jego artykule nie znajdujemy przedmiotowych dowodów, że belgowie chcą wyrządzić krzywdę kolei Warsz.-Wiedeńskiej. Zamiast gołosłownych utyskiwań, wolelibyśmy ścisły rozbiór sprawy i rachunek. Ale jedna jego uwaga trafia w sedno. „Jeżeli kapitały berlińskie — powiada on — mogły ustąpić belgijskim, to tem samem mogłyby ustąpić i naszym... Niejednokrotnie przekonały wypadki, że tych kapitałów u nas nie brak... Miałożby braknąć ludzi, szersze obejmujących widnokręgi i widzących coś więcej, niż koniec własnego nosa, miałożby braknąć ludziom sprytu, inicyatywy, energii i woli?“

Niestety, braknie, ale tylko ludzi „obejmujących szersze widnokręgi,“ bo kraj nasz posiada dość kapitałów na to, ażeby utrzymał w swem posiadaniu wszystkie koleje. Ale ponieważ pieniądz ma jeszcze dość szerokie pole dla obrotów lichwiarskich i, jak zagraniczny, nie zadowala się procentami umiarkowanymi, ponieważ wolą na zarobek wędrować daleko, niż go szukać blizko, więc tak ważne instytucye, jak koleje, muszą ciągle zależeć od niemców, francuzów, belgów, holendrów i drżeć przy każdem nowem ustosunkowaniu się akcyj. Po Leopoldzie Kronenbergu, który ramionami kapitalistycznego olbrzyma dźwigał te przedsiębiorstwa, stojąc na gruncie krajowym, nastąpił Stanisław Kronenberg, który ojcu dorównać pragnął, po Stanisławie — już nikt.

Najbardziej pocieszającą nowiną minionego tygodnia jest — zdaje się już niewątpliwa — wiadomość o założeniu pracowni chemicznej miejskiej, mającej czuwać nad artykułami spożywczymi Warszawy. Mnóstwo wypadków odbiło się już o nasze uszy, ale tylko wyobraźnią odtworzyć sobie możemy ten ogrom nadużyć, jaki bezkarnie dokonywa się w mieście z półmilionową ludnością. Począwszy od produktów, dostarczanych na targ przez wieśniaczki, posiadające wydoskonaloną sztukę fałszerstwa, aż do kupców szumnie ogłaszających towary wielkiego handlu, ciągnie się z niezliczonych ogniw łańcuch oszustw. Czego już i czem nie podrabiają! Wszystko, co ziemia rodzi, lub ręka ludzka wytwarza, stało się przedmiotem szacherki. Przyjął w niej udział lud, mieszczanie, nawet bogaci przemysłowcy. Szczęście jeszcze, jeśli niecnota odbywa swe spekulacye nie kosztem zdrowia spożywców, lecz tylko ich kieszeni. Żadnemu miastu nie udało się uniemożliwić tych podłych robót, ale sumienna kontrola zdołała już je ograniczyć znacznie. Powstanie więc jej organu w Warszawie będzie istotnem dobrodziejstwem, tem większem, że na czele owej pracowni stanie człowiek, dający podwójną rękojmię — uczciwości i znawstwa, dr. Bujwid. Nikomu słuszniej nie należała się ta rola, niż poważnemu i już wielce zasłużonemu bakteryologowi. Na widok publiczny słabo wychylała się nietylko naukowa, ale i społeczna wsrtość młodego badacza, który długo bez żadnej pomocy materyalnej, o własnych skromnych środkach ratował życie wielu ludziom pokąsanym przez psy wściekłe. Utrzymywanie pracowni, dającej możność dokonywania szczepień, często wcale niewynagradzanych, wymagało poświęceń i wysiłków bardzo uciążliwych. Obecnie, skutkiem udoskonalenia metody Pasteurowskiej, Bujwid nie ma wcale śmiertelności, co jest zaszczytnym tryumfem dla nauki i dla jego pracy w trudnych warunkach podjętej. Że nowe laboratoryum będzie on prowadził umiejętnie i... uczciwie — nie wątpimy. Ten drugi przymiot jest prawie równoważny pierwszemu. Wiadomo, jakim rojem pokuszeń otoczone będzie stanowisko takiego kontrolera hygienicznego; oprzeć się im, zamknąć drogę podkradającym się z lepem oszustom, nie uledz żadnej przynęcie, być nieugiętym stróżem zdrowia publicznego — zadanie bardzo piękne, któ-

re Bujwid niezawodnie z całem poczuciem i zrozumieniem swego obowiązku spełni.

Nie tyle czasy, ile pisma w nich jakże się zmieniły! Przed paru laty zaledwie *Kuryer warszawski* był organem zjazdów literackich, broniących własności autorskiej, a jego redaktor ich czynnym członkiem, pragnącym uszczęśliwić nas—obowiązkiem płacenia za przekłady z języków obcych. A dziś! Humorystyczny sejmik obraduje w Wenecyi, a korespondent *Kuryera* drwi z tego „pracowitego próżnowania, zwanego kongresem literackim.“ Pisze on: „Razem wziąwszy, spory te wyglądają na przelewanie z pustego w próżne. Po każdem posiedzeniu komitet stawia wnioski, potwierdzone przez obecnych wznoszeniem rąk do góry. Ale choćby z tych wniosków ułożono kopiec tak wysoki, jak wenecka *Campanella*, ducha ludzkiego i właściwej twórczości artystycznej nie podniesie to nawet na cal jeden nad poziom dzisiejszy.“ Czy mi się tylko zdaje, że kiedyś coś podobnego mówiłem i że nieboszczyk W. Szymanowski w tym samym *Kuryerze*... Dajmy pokój przypomnieniom i umarłym. Poprzestańmy na zaznaczeniu, że lekkomyślny i zabójczy dla literatury naszej bzik ustąpił nawet z jedynego pisma, które go broniło.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Ogólny stan zbiorów i rynki europejskie. — Prąd amerykański. — Polityka niektórych firm zbożowych. — Nasza odrębność. — Pośrednictwo *Gazety lubelskiej*. — Skarga gdańszczan. — Nowe ulgi dla rolników. — Obywatel szanujący tradycyę. — Pokrzywdzony pasażer. — Projektowane koleje. — Jak się budują domy i jak mieszkają urzędnicy na nowych drogach żelaznych. — „Cyklop“ o bystrem oku i nasza naiwność.

Na rynkach europejskich przebiegają obecnie różnorodne prądy, wstrząsające ludnością rolniczą (z gatunku tej naturalnie, która po za obręb swej miedzy zdolna jest sięgnąć). Głównym motorem, jak wiadomo, jest Ameryka, *pradująca* bezustannie swą starą piosenkę, płaszczącą się i tchórzliwą. Niezależnie od głównego, francuski minister rolnictwa ustawił motor mniejszy i jedną iskrą zdołał niemal w całej Europie zatrzymać ceny zboża w postępie zwyżkowym. Ogólną statystyką zadał on kłam giełdom fałszywie oceniającym zbiory tegoroczne. Tak np. te ostatnie we Francyi dostarczyły prawie 100 milionów hektarów, a nie 85 mil. W Anglii rezultat nie był tak zły, jak głoszono. Ogółem na całym świecie, według obliczenia ministra, niedobór tegorocznych zbiorów wynosi 9 mil. hektarów, dotychczas zaś rozdymano go do 25 mil. Odkrycia te wywołały potężny wpływ na rynki zagraniczne. Spółcześnie jednak działała iskra zaoceanowa, przynosząc takie wieści: w Chicago utworzył się syndykat zwyżkowy skutkiem zniżenia ceny amerykańskich zbiorów pszenicy z 400 na 380 milionów buszli. Wiadomość ta wywołała pewną odporność w cenach zboża europejskiego. Zupełnie odrębnie działają południowo-ruskie firmy, polecając swym komisoncrom, iżby się opierali wszelkiej zwyżce cen, gdyż rolnicy, potrzebując pieniędzy na zapłacenie podatków w jesieni, będą ostatecznie musieli oddać zboże po takiej cenie, jaką im kupcy zaofiarują. U nas dzieje się także coś podobnego. Tutaj już ani Ameryka, ani żaden europejski port nie może działać. Potężniejsi nad ich wpływy są małomiasteczkowi i wiejscy handlarze, dyktujący swe warunki szlachcie, doskonale odosobnionej od szerszego widnokręgu społeczno-ekonomicznego. Rozumnie też *Gazeta lubelska* zrobiła, wprowadzając rubrykę dla rolników, rozpraszającą mgły spekulantów. Czy się to jej w zupełności powiedzie, wątpię. Warto jednak, żeby z podobną pomocą pospieszyły inne pisma.

System wzajemnego pognębienia ekonomicznego odbił się i na kupiectwie gdańskiem. W swojem sprawozdaniu narzeka ono, iż okoliczności, od których zawisł rozwój tamtejszego handlu morskiego, wcale się nie poprawiły. Polityka ekonomiczna państw stawia coraz nowe przeszkody międzynarodowej wymiany towarów, na którą szczególnie Gdańsk wskutek swego położenia geograficznego został skazany. Ani otwarcie nowych dróg handlowych (kosztowne koleje i kanały), ani dobre zbiory nie unikną próby wzniesienia nowych sztucznych przeszkód naturalnemu rozwojowi handlu powszechnego, za pomocą przepisów prawodawczych i administracyjnych. Jeżeli pomimo wzajemnego odgraniczenia narodowych terytoryów ekonomicznych — mówi kupiectwo — występują widoki pomyślniejsze, to powodem ich bywa tylko zapowiedź nowych ceł, albo sojusz potężnych grup wytwórców.

Gdy tak pod naciskiem cłowym ciężko oddychają silnopłucni gdańszczanie, Towarzystwo kredytowe ziemskie w Królestwie Polskiem otrzymało środek łagodzący astmę naszych rolników. Ulgi zatwierdzone przez dyrekcyę są dwojakie: jeżeli właściciel majątku, dotkniętego klęską, został pozbawiony czystego dochodu rocznego — jedna lub dwie najbliższe raty mogą być rozłożone w równych częściach i dołączone do czterech następnych półrocznych. Jeżeli z takich samych powodów właściciel jest pozbawiony zupełnie czystego dochodu rocznego, albo był zmuszony dla podtrzymania gospodarstwa porobić wydatki, przewyższające czysty dochód roczny, w takim razie dwie raty mogą być rozłożone na dwanaście półroczy w równych częściach. Jeżeli majątek skutkiem szczególnych klęsk uległ takiemu spustoszeniu, że właściciel został pozbawiony całorocznego dochodu, a nadto stracił część kapitału obrotowego, równającą się temu dochodowi, lub poniósł stratę przewyższającą dwuletni czysty dochód z majątku, w takim szczególnym wypadku może być przyznana nadzwyczajna ulga, polegająca na rozłożeniu nie więcej niż czterech rat na pozostałą do spłaty całej pożyczki liczbę półroczy w równych częściach. W razie jednak przyznania tej ulgi, wszelkie inne, udzielone poprzednio, ulegają zniesieniu i żadna inna nie może już być przyznana stowarzyszonemu. Po wprowadzeniu w czyn tych przepisów powinna się zmniejszyć lista majątków wystawianych na sprzedaż publiczną, która w naszych pismach zajmuje stałą pokaźną rubrykę. Nie wiem jednak czy największe możliwe ulgi rolnych instytucyj kredytowych potrafią choć w części ograniczyć działalność faktorów obywatelskich. Takie *ulgi* byłyby uważane za pogwałcenie tradycyi, a więc tłumienie *żywotności* klasy „przodującej.“ Niech się nie przerażają tem mojem napomknieniem stróże nałogów i przesądów narodowych; są bowiem przykłady świadczące o ich wiecznej sile. W okolicy Wiskitek — jak opowiada *Kuryer codzienny* — mieszka obywatel ziemski p. X., majątek swój prowadzi wzorowo i stosuje w praktyce wszelkie ulepszenia; ale z dawnych czasów pozostała mu jedna choroba — trzymanie „nadwornego faktora.“ Żadna tranzakcya kupna czy sprzedaży nie obejdzie się bez jego pośrednictwa. Oprócz spraw handlowych, do Szmula należą wszyscy oficyaliści, od karbowego aż do rządcy. Dobre stosunki z pośrednikiem wyrabiają się za pomocą „grzeczności“ (tak się nazywa faktorne u drażliwego opowiadacza). Niedawno spadły z etatu leśniczy z zarządu skarbowego, zakołatał o posadę do nadleśnego p. X.; ten zaś odesłał go do faktora, którego przychylne lub nieprzychylne przedstawienie zawyrokuje o losie kandydata.

O ile tacy *pełnomocnicy* obywatelscy są szkodliwi dla całej maszyneryi majątkowej, o tyle może byliby pożyteczni na naszych kolejach dla podróżnych, chcących swój bagaż odebrać. Radziłbym zaprowadzenie takich urzędników nadetatowych, a ręczę że nie byliby oni ciężarem, przeciwnie, mogliby przynieść pewną *oszczędność* zarządom, gdyż za umówione wynagrodzenie od podróżnego pilnowaliby wyprawienia, całości i bezpieczeństwa pakunków oddanych do składu, co nie leży dziś w obowiązku dróg żelaznych, jak świadczy następujący fakt, opowiedziany w *Dzienniku łódzkim* przez poszkodowanego p. G. Udał się on rannym pociągiem z Łodzi do Miechowa; bilet wolno mu było wykupić tylko do Dąbrowy iwangrodzkiej, dokąd również wysłał rzeczy swoje, lecz ich po przybyciu na miejsce nie zastał. Zawiadowca stacyi objaśnił go, że zapewne przez omyłkę wysłano je do Dąbrowy wiedeńskiej i obiecał urzędownie zatelegrafować, aby właściciel mógł swoje rzeczy odebrać z następnego pociągu. P. S. straciwszy daremnie cały dzień, udał się do Miechowa. Tam znowu obiecano mu następnym pociągiem je odesłać. Przeczekał noc całą bezskutecznie i poprosiwszy o zatelegrafowanie, pojechał do swego majątku, skąd dzień po dniu posyłał na stacyę, aż nareszcie naczelnik poradził udać się po rzeczy tam, gdzie je oddano. P. S., potrzebując wydostać z kuferka papiery terminowe, zastosował się do rady, lecz w Łodzi ani rzeczy nie znalazł, ani się nie mógł dowiedzieć, o ich losie.

Od czasu do czasu rozchodzą się pogłoski o budowie nowych kolei w Królestwie Polskiem i wzruszają do głębi mieszkańców zapadłych kątów. W chwili obecnej aż kilka miast zaprzątnęło się tą sprawą: Kalisz, Płock, Radom i Zgierz. Najbujniejsza fantazya płoczczan już nakreśliła linię przez miejscowości najbardziej pokrzywdzone brakiem komunikacyi żelaznej: od kolei Nadwiślańskiej nowy tor pójdzie z Gąsocina przez Sochocin, pozostawiając w pewnej odległości Płońsk (dlaczego?), następnie zwróciwszy się na płaskowzgórze raciązkie, omijając łożyska strug płynących ku Wiśle, moczary pomiędzy Płonką i Wkrą, przejdzie przez Raciąż, Drobin i Bielsk. Dalsze rozgałęzienie tej linii pójdzie przez Wisłę do Kutna lub Pniewa. Ponętniej się przedstawiają koleje w projekcie niż w robocie. Oto dowód: drogi Siedlecko - Malkińska i Brzesko-Chełmska przyłączone zostały do Terespolskiej, której zarząd podjął się wykończenia stacyj i domów mieszkalnych, lecz mając ważniejsze sprawy na głowie, poruczył ową czynność przedsiębiorcy; ten zaś za dobre wynagrodzenie odstąpił kontrakt drugiemu, drugi trzeciemu itd. Obecnie już piąty ma roboty w swoich rękach; nie zbywa mu na dobrych chęciach, ale brakuje pieniędzy, więc nie może sprowadzić wszystkich materyałów, ani dostać potrzebnej liczby robotników. Tak więc czynności te przeciągną się prawdopodobnie do zimy. Tymczasem zarząd, troskliwy o swych urzędników i oficyalistów stacyjnych, przeznaczył dla nich na mieszkanie... wagony bydlęce, brudne i cuchnące. Stoją one dość daleko od stacyj na tak zwanem *żeberku* (linii zapasowej); wchodzić do nich można po drabinie, lub desce z listwami. Mieszczą się tam żony i dzieci służby kolejowej; ci zaś, którzy nie chcieli narażać rodzin na niebezpieczeństwo, umieścili się w drwalniach i przewiewnych budowlach.

Bardzo to piękna zaleta niektórych naszych obywateli — ochoczość do ubezpieczania się od wszelkich strat w rolnictwie. Szkoda tylko, że są oni łatwowierni i naiwni względem obcych instytucyj. Gorzko też nieraz opłakują swą miłość dla zagranicy. O ile sobie przypominam nie dawno ogłoszono publicznie przepisy paraliżujące działalność zagranicznych towarzystw asekuracyjnych u nas. Pomimo to pracują one tutaj bardzo skutecznie. W czerwcu agent

asekuracyjny towarzystwa „Cyklop“ z Wrocławia objechał wielu posiadaczy ziemskich z okolic Częstochowy, Żarek i Będzina, proponując im ubezpieczenie się od gradobicia. Ponętne warunki skusiły kilkunastu obywateli, między innymi pp. S. i G., którzy zawarli asekuracyę, każdy na sumę 30,000 marek. Zasiewy ubezpieczonych grad w lipcu zniszczył. Poszkodowani zwrócili się do Towarzystwa, a kiedy na trzykrotne ich wezwania nikt z Wrocławia nie przyjechał, p. S. zaopatrzywszy się w upoważnienie od sąsiada i w urzędowe dokumenty, stwierdzające straty, udał się za granicę. Jakże się zdziwił, gdy biuro „Cyklopa“ oświadczyło, że chociaż polisy od nich pochodzą, ale nie mają żadnej wartości, gdyż agent został przed rokiem wydalony a blankiety polis z podpisami przywłaszczył sobie. Dla uniknięcia jednak procesu (jak donosi *Kur. warsz.*), „czyniącego ujmę instytucyi,“ oświadczono gotowość zwrócenia obu ziemianom wniesionych składek. Oburzony p. S. zagroził procesem; „Cyklop“ zmiękł i zaproponował 25% przedstawionych roszczeń, tj. po 5,000 marek każdemu z poszkodowanych. Obaj właściciele namyślają się obecnie. Może ten przykład wyleczy innych z bielma.

Drogomir.

PRASA RUSKA.

Graždanin w liście z Warszawy pisze:

„Dużo pracy, dużo wysiłków poświęcono w tym celu, aby współczesna warszawska prasa polska przyswoiła sobie odpowiedni charakter. Przyznać trzeba, że usiłowania te wydały pewne owoce: pisma warszawskie nabierają powoli charakteru, jaki przystoi wydawnictwom, wychodzącym w państwie ruskiem. Wszakże niezbyt odległe to jeszcze czasy, kiedy o Rosyi wspominały bardzo rzadko i to takim tonem, jak naprzykład o Indyach, lub Chinach jakby Rosya była nieznanym krajem, obcym całkiem dla polaków. Wówczas trudno było w pismach warszawskich znaleźć wzmiankę, że wychodzą w obrębie Cesarstwa ruskiego, coby mogło przypominać wytworzone w naturalnym biegu rzeczy faktyczne węzły, łączące miejscową ludność z istniejącym ustrojem państwowym. Otóż w ostatnich latach, zwłaszcza od czasu osobistych zmian zaszłych w warszawskim komitecie cenzury, odbił się i w warszawskich pismach wpływ państwowego ducha ruskiego; dzisiaj znajdujemy już w dziennikach warszawskich wiadomości dworskie, informacye o przyjeździe i wyjeździe z miasta miejscowych przedstawicieli władzy. Dziwi nas tylko brak korespondencyj z miast kraju Przywiślańskiego. Jakie mogą być tego powody? Tłomaczy się to w sposób następujący: życie miast prowincyonalnych, szczególniej mniejszych, coraz więcej płynie łożyskiem ogólno-państwowego życia ruskiego, a fakty, świadczące o tem, mnożą się nieustannie. Otóż warszawska prasa polska nie życzy sobie stwierdzać tego objawu i unika wszelkich korespondencyj.

„Wogóle prasa polska w Warszawie, słabo bardzo wiąże się z rzeczywistemi, żywotnemi zjawiskami życia, trzyma się ona poniekąd na odosobnionem stanowisku i robi wrażenie sztucznie hodowanej rośliny. Czytelnik nie spotyka w niej nic, prócz obchodzących wszystkie dzienniki ogólno politycznych wiadomości w formie depesz i korespondencyj, artykułów wstępnych, osnutych na tych wiadomościach, przedruków z gazet ruskich i nowin warszawskich, o książkach, teatrze, koncertach, złodziejstwach, zabójstwach itd. Dzięki temu, prasa warszawska nie zadawala bynajmniej ogółu polskiego i największe zajęcie budzą w gazetach warszawskich przedruki z pism ruskich, a w tej liczbie i z *Dniewnika warszawskiego.* Tymczasem w kraju Przywiślańskim coraz więcej uczuwać się daje potrzeba nowego organu, któryby stanął na gruncie realnym i nie miał tych braków, cechujących istniejące obecnie pisma polskie. Po części braki te wynagradza *Warszawski Dniewnik*, ale nie zupełnie, bo dla wielu osób, czytanie dziennika ruskiego połączone jest z wielkim mozołem.

„Kardynalną wadą publicystów polskich jest, jak wiadomo rutyna, brak ruchliwości i niezaradność, gdy chodzi o chwytanie w lot potrzeb bieżących i odpowiednią o nich rozprawę. Tylko tą okolicznością wytłomaczyć sobie można taki objaw, że dotychczas nie ukazało się w języku polskim pismo, któreby wytknęło sobie ogólnoruski państwowy kierunek; wielce pożądaną przeto byłoby rzeczą, by w tym wypadku rząd pospieszył z pomocą i aby założył w Warszawie dziennik polski na tych samych zasadach, na których istnieje *Warszawski Dniewnik.* Gdy zwrócimy się do przeszłości, to widzimy, że aż do r. 1846 wychodził w Warszawie *Dziennik Powszechny* i *Dziennik Warszawski*, przekształcony w tymże roku na pismo ruskie p. t. *Dniewnik Warszawski.* Oba te dzienniki były bardzo rozpowszechnione, to też wolno mieć nadzieję, że i proponowane przez nas pismo miałoby zupełne powodzenie, zwłaszcza dzisiaj, kiedy potrzeba takiego organu z niezwykłą objawia się siłą. Fiasco, jakiego doznał przed 4 laty redaktor *Chwili* W. Przyborowski, nie może stanowić odstręczającego przykładu dla naszego projektu, *Chwila* bowiem nie znalazła poparcia dlatego tylko, że grzeszyła wogóle wyszczególnionemi przez nas wadami wszystkich pism polskich i usiłowała wynagrodzić to jedynie szumnymi artykułami o pojednaniu rusko-polskiem w duchu słowianofilów z r. 40, gdy tymczasem pojednanie urzeczywistniło się już oddawna, tylko w innej cokolwiek formie. Wobec tego więc wszelkie dysputy na ten temat nie mogą zająć nikogo.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Kasa emerytalna. Komisya pod prezydencyą naczelnika departamentu podatków stałych opracowała projekt nowej ustawy o kasie emerytalnej urzędników cywilnych, który w bieżącej jesieni wniesiony będzie do Rady państwa. Fundusz emerytalny powstaje z kapitałów emerytalnego i zapasowego. Kapitał tworzy się ze składki urzędników i z zasiłków skarbu państwa. Składki emerytalne będą obowiązkowe i dobrowolne, pierwsza wynosi 6% pensyi, druga nie może przewyższać obowiązkowej. Po śmierci urzędnika pozostawiającego wdowę i dzieci małoletnie, te ostatnie otrzymają jednorazowo połowę złożonych przez nieboszczyka składek obowiązujących. Do czasu pełnoletności sieroty otrzymują emeryturę z kapitału zapasowego; mianowicie sieroty bez ojca i matki 25% pensyi ojca, sieroty przy matce 17%. Ogólna suma emerytury wypłacanej sierotom nie może przewyższać pensyi pobieranej przez urzędnika. Emerytura wdowy z dziećmi będzie obliczona z 75%, wdowy bez dzieci— z całej sumy składek emerytalnych nieboszczyka. Jeżeli przypadająca emerytura wdowie lub urzędnikowi wyniesie więcej niż 28% pensyi otrzymywanej w ostatnim roku służby, wolno im żądać zamiast emerytury, wypłaty jednorazowej składek z potrąceniem 6%. Na postanowienia kasy wolno uczestnikom zanosić skargi; najwyższą instancyą będzie senat. Nowa ustawa zastosowaną będzie do wszystkich urzędników, których zastanie na służbie. Przy opuszczeniu służby mają prawo do emerytury urzędnicy, którzy przesłużyli co najmniej lat 5, a nie więcej niż 15. Jeżeli zmarły nie zostawia wdowy lub dzieci, składki jego otrzymują jednorazowo spadkobiercy prawni. Jeżeli urzędnikowi, który lat 25 służył, nie będzie można przyznać emerytury wyższej nad 30% pensyi z ostatnich lat 5, kasa państwa dopłacać mu będzie od siebie. Do emerytury będą dopuszczeni urzędnicy cywilni z wolnego najmu, oraz mający posady w urzędach miejskich, ziemskich, w towarzystwach i instytucyach prywatnych. Co do prawa tych osób do emerytury, będą ułożone specyalne przepisy.

Ustawa przytułku poprawczego dla dziewcząt nieletnich, wypracowana przez zarząd i komitet osad rolnych i przytułków poprawczych, przesłana została władzy wyższej do zatwierdzenia.

Zapis testamentowy rs. 1,000 Józefa Rajchmana na rzecz Towarzystwa osad rolnych i przytułków rzemieślniczych, ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło.

W Indyach skutkiem posuchy i nieurodzaju w jednych prowincyach, a powodzi w innych, szerzy się głód ogromny. W Bengalu 150 mil kwadratowych stoi jeszcze pod wodą.

W Ostrogu (gub. wołyńska) panuje silna dysenterya. Z tego powodu odroczono jeszcze na miesiąc otwarcie wykładów szkolnych.

Zmiany w administracyi. Powstał projekt zmniejszenia składu osobistego w instytucyach włościańskich w Królestwie Polskiem. — Wydziały prawne w rządach gubernialnych mają być zmienione. (*Pet. Wied.*).

W Pradze powstał miesięcznik *Die slavische Warte*, redagowany przez p. Pazdirka w duchu staro-czeskim.

Szkoły. W prawosławnych akademiach duchownych ma być wykładany język hebrajski, jako przedmiot obowiązkowy.

— Program szkoły sztygarów w Królestwie Polskiem zatwierdzono. Ponieważ fundusz 34,000 rs. na ten cel przeznaczony, nie jest wystarczający, przyjęto więc ofertę właścicieli zakładów górniczych, przyrzekających stałą zapomogę roczną.

— Statystyka, wydawana przez naukową zwierzchność w Szwajcaryi, wykazuje znaczny napływ polaków do szkół w r. z. W pensyonatach w Verey, Genewie i Lucernie uczyło się przeszło 50 dzieci polskich.

— W składzie osobistym profesorów uniwersytetu warszawskiego zaszły następujące zmiany: uwolnieni zostali z powodu wysłużenia emerytury: prof. języka greckiego i literatury Mierzyński, prof. prawa międzynarodowego Białecki, lektor języka niemieckiego Przyborowski. Prof. Czausow zatwierdzony na stanowisku dziekana wydziału medycznego, a prof. nadzwyczajny Tumas na urzędzie sekretarza tegoż wydziału; p. o. docenta literatury rzymskiej, Wiechow, zatwierdzony w charakterze prof. nadzwyczajnego. Nadto uniwersytet powołał na profesorów nadzwyczajnych: na katedrę mechaniki Somowa, na katedrę chorób nerwowych i psychicznych Popowa i na kat. lit. greckiej — Nowosadzkiego.

Reforma służby leśnej w okręgu radomskim zbliża się ku końcowi. Nowomianowani urzędnicy obejmą leśnictwa i straże w ciągu trzech miesięcy. Około 60% dawnych nadleśnych i podleśnych spada z etatu.

Małoletni. Wobec tego, że dzieci oddawane do zakładów poprawczych i kolonij rzemieślniczych, nie zawsze mogą ukończyć kursa rzemiosł z powodu określonego terminu ich pobytu, oraz z uwagi, że termin z wyroku nie zawsze wystarcza do zupełnego ich umoralnienia, zaprojektowano, aby sędziowie pokoju w wyrokach swoich nie określali terminu zamknięcia nieletnich, lecz pozostawiali to uznaniu instytucyj poprawczych. Będą one mogły dowolnie zatrzymywać swych wychowańców, nie dłużej jednak jak do 18 roku życia.

Kanał. Londyński *Standard* pisze, że w Odesie zawiązała się spółka francusko-ruska do przekopania kanału pomiędzy morzem Czarnem i Kaspijskiem. Koszty obliczono na 40 mil: rs.

Kasy pożyczkowe. Wskutek przedstawienia zarządu jednej z kas rzemieślniczych, sekcya zgodziła się tytułem próby na oddanie wszelkich spraw w ręce jednego specyalnego obrońcy, który pod kontrolą zarządu i w lokalu samej kasy będzie miał swoje biuro. Obrońca wynagradzany będzie procentem od sum przezeń na rzecz towarzystwa odzyskanych.

Przemysł. W zbiorze praw i rozporządzeń rządowych ogłoszono ustawę nowozałożonego „Towarzystwa akcyjnego zachodnio-ruskich zakładów żelaznych.“ Ma ono prawo nabywać, urządzać, eksploatować kopalnie węgla i rudy, oraz fabryki żelaza lanego i kutego w gub. warszawskiej, kieleckiej, piotrkowskiej i radomskiej. Wolno także prowadzić Towarzystwu w kraju i za granicą handel wyrobami swymi, oraz wszelkimi metalami i minerałami. Kapitał zakładowy 2,000,000 rs. w 400 akcyach po 5,000 rs. Nadto dla wytworzenia kapitału obrotowego, wolno wypuścić obligacye (nie niższe jak po 500 rs.) na sumę równą połowie kapitału akcyjnego. Uczestnikami mogą być tylko ruscy poddani. Zarząd Towarzystwa będzie w Petersburgu.

— Z połączenia warszawskiej fabryki stali i „Coquerel“ powstało południowo-ruskie Towarzystwo zakładów górniczych.

— *Now. Wr.* donosi, iż putiłowskiemu Towarzystwu zakładów mechanicznych zagraża likwidacya

z powodu, że p. Rau odmówił przedłużenia terminu pożyczki 2,800,000 rs. Towarzystwo stara się u rządu o pożyczkę 4 mil. rs. na lat 15.

Bibliografia. A. Konar, *Śpiąca królewna*, obrazek sceniczny, Warszawa, str. 31.

— W. Kosiakiewicz, *Nasz mały*. Warszawa, str. 86.

— S. Giejsztor, *Katalog* dzieł dawnych i wyczerpanych, nr. 6.

— Gebethner i Wolff, *Katalog* (wrzesień. 1888).

Zmarli. Emil Józef Wojciechowski, dziennikarz i powieściopisarz. „Sąd polubowny“ i „Anna.“ powieści, drukowane były w *Tyg. ilustrowanym*.

— Rafael Calvo, znakomity aktor hiszpański w Kadyksie.

— Meixner, znany aktor niemiecki w Wiedniu.

— Collani, b. prof. uniwersytetu w Strasburgu, redaktor *Republique fr.* — w Szwajcaryi.

— E. Accard, malarz rodzajowy francuski, w Paryżu.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

S. Km. Utwór Pański jest szumiącą frazeologią bez treści, tytanicznem pozowaniem bez siły. Nie określa on wyraźnie ani maczugi młodego Herkulesa, ani celu jego uderzeń.

Jedn. rob. Sto wierszy druku dla Pańskiego kazania, drugie sto dla naszej na nie odpowiedzi — tyle miejsca w *Prawdzie* jej abonentom zabrać nie możemy po to, ażeby dowieść, żeś Pan artykułu naszego nie zrozumiał, a nad poruszoną w nim sprawą nie zastanawiał się nigdy. Przeczytaj Pan jakąkolwiek historyę sztuki, a jeśli to za wiele — pomów z jakimkolwiek ukształconym artystą — on wytłomaczy Panu wartość piękna ludzkiego po za „gospodarstwem domowem.“ A może Pana sztuka wcale nie obchodzi? W takim razie nie mamy o co się spierać.

P. W. Lip. w Kaliszu. To bardzo naturalne, gdyż o książkach przez nas wydanych pisma warszawskie nawet nie zawsze wspominają. Ale za to wiesz Pan dobrze z tego dziennika, kiedy jego przyjaciele „noszą się z myślą“ napisania czegoś. Wysłano.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszaw. w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 23 Сентября 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.